№ 34 Warszawa, dnia 11 (23) Sierpnia roku 1879.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FRANCISZEK COPPÉE.

POETA FRANCUZKI.

przez S. z Ż. D.

(Dalszy ciąg).

Zdrowszą nierównie myśl rozwinął autor w maleńkim dramaciku p. t. *Rendez-vous*. Obrazek ten w którym występują dwie tylko osoby, ściągał w teatrze grzmot oklasków; drukowany przebiegał z rąk do rąk; w ciągu roku doczekał się dwudziestu wydań.

Rzecz dzieje się w pracowni malarza. Młody ten artysta otrzymał złoty medal na ostatniéj wystawie. Przed rokiem, nieznany nikomu, stał się nagle ulubieńcem arystokratycznych salonów Paryzkich. Owiany sztuczną atmosferą zakochał się w prześlicznéj hrabinie. I ona miłem pogląda nań okiem, chętnie staje z nim do kadryla, przyrzekła nawet zwiedzić jego pracownię. Będzie to pierwsze sam na sam! Artysta czeka z bijącem sercem: lęka się, wolałby jak mówi zostać opodal od niéj:

Precz z mojéj wyobraźni ta mrzonka dziecinna,
Nie, ona przyjść nie może, ona nie powinna!

Bierze paletę, zbliża się do stalug, wtem słychać chrzęst jedwabiu; hrabina wbiega trwożliwie do pracowni.

I po cóż ona tu przybyła? Słuchajmy, niech sama opowie.

Jam ten kwiat, co w cieplarni chwieje się i kona,
Widnieje bez powietrza schnie bez rosy świeżéj
I zieloną łodygą w górę nie wybieży!
W świecie gdziem ja zrodzona, w tym szczęśliwym [świecie
Który mi niesie hołdy i wieńce mi plecie,
Ja wątleję samotna, z półumarłem sercem;
Ten buduar indyjskim wysłany kobiercem,
Ta loża aksamitna wybita czerwono,
Ta kareta, hrabiowska ozdobna koroną,
Te łowy, gdzie na koniu suną ptaka lotem,
Owe przepyszne bale, gdzie błyszcząca złotem
Króluję w pośród tłumów, kiedy rozpląsana
Pomykam jak Sylfida w objęciu młodziana,
Kiedy róże na licu zakwitną mi złudne,
O! jakże mi to wszystko nieznośne, jak nudne!
Mnież te zwodne msmidła do szczęścia podnietą?
Głos tajemny mi szepcze: „ja byłam kobietą
Zmieniliście mnie w lalkę, uczyli od młodu
Uśmiechać się i kłamać gdy serce drży z chłodu;
Przywoływać do oka żar sztuczny i skrycie
Szydzić z tych co mi wierzą!" ha! takie to życie
Świat mi dał... to nie życie, to szał gorączkowy!...

Hrabina przyszła do pracowni artysty, jak kapryśne dziecko spragnione świeżych wrażeń. Ilekroć tkliwe słówko wybieży mimowoli z ust młodziana, ilekroć wzrok jéj spotka się z gorącem jego spojrzeniem, zapędza go żywo do stalug. Pragnie widzieć w nim tylko przyjaciela, pogwarzyć z nim o sztuce.

Obchodzą dokoła pracownię, młoda kobieta zatrzymuje się przed każdym krajobrazem. Widok morza sprzeczne budzi myśli w obojgu. Ona wspomina jak przed laty trzema, spędziła lato w Trouville:

Noszono wtedy laskę i przystrojon pióry
Okrągły kapelusik z czasów Pompadury.

On innem okiem pogląda na przyrodę, inaczéj ta czarodziejka przemawia do artystycznéj jego duszy.

Przyroda matka dobra, wierną dziatwę pieści,
Zgania chmury z jéj czoła, z oka łzę boleści,
Kocha tych którzy w zamian oddali jéj życie;
Bo kwiat lubi gdy w pełnym widzim go rozkwicie,
Bo cudniéj śpiewa słowik w swéj leśnéj zaciszy,
Gdy wie że dźwięki pieśni ktoś zdala posłyszy,
Bo cudniéj gwarzy strumień, gdy wie że pogwaru
Słucha przyjazne ucho!...

Hrabina nie rozumie tych uroków. „Życie moje ubiegło zdala od przyrody:

Nie dziw się że jéj czaru tak jak ty nie cenię,
Miesiąc jeden pamiętam spędziłam w Badenie,
Miesiąc inny u morza, i miesiąc miodowy
U podnóży alpejskich; wybiegły mi z głowy
Te urocze wspomnienia łąk, pól i błękitu,
Ah! ta nieznośna zorza!... miałam jéj do sytu,
Kiedy po całéj nocy w wagonie spędzonéj,
Oślepił mi źrenice brzydki pas czerwony
Rozpostarty na niebie...

Artysta oburza się na takie świętokradztwo; hrabina ciągnie swoje:

Zimny świat wcześnie skrzywił polot mojéj duszy,
Wypaczył wyobraźnią, ostudził mi serce,
Nad murawę, ja miękkie przekładam kobierce,
Nad zorzę, połysk gazu miléj wzrok mój wabi,
Nad szum dębów i jodeł, wolę chrzęst jedwabi.
Czyż dusza uwikłana w te ułudne sieci
Oswobodzić się zdoła? czyż w górę uleci
Z po za kraty więziennéj w przestrzenie bez końca,
Do powietrza, do rosy, do światła, do słońca!

Młoda kobieta przebiega wszystkie kąty; staje przed stalugami.

— Czy to bardzo trudno malować? pyta artysty.

— Bardzo trudno, odrzecze malarz, praca to nadzwyczaj mozolna.

— A więc sztuka musi być nudną?

— Bynajmniéj! zawoła młodzian z zapałem.

Jak to błogo do pracy obudzić się z rana,
Wyższego nad to szczęścia nie znaléźć na świecie!
Śpiewam pieśń gdy rozcieram farby na palecie,
Pod tknięciem pędzla kształty coraz nowe rosną,
Jak kwiaty, gdy słoneczko rozbudzi je wiosną.

Oddalam się i wracam, alem nie rad jeszcze,
Głowa płonie mi żarem, pierś zbiegają dreszcze,
A wtem myśl błyskawicą mignie mi przed okiem,
Zawołam: *Eurika!* i jednym przeskokiem
Przybiegam: *pac pac!* pędzlem, na prawo i lewo,
Widnokrąg się oddalił przybliżyło drzewo,
Nie pomnę że na dworze śnieżna zamieć pruszy,
Na obrazku mym wiosna, tu pod cieniem gruszy
Gotówbym słodko spocząć...

Słowa te poruszyły nową strunę w sercu kobiety... zadumała się, wspomniała życie swoje trawione w próżniactwie i rozrywkach. Przebiega znów pracownię, na kominku widzi adres *Adeli*, i złośliwy uśmiech jawi się na jéj ustach.

— Któż to jest ta Adela? zapyta sarkastycznie.

— Mała dzieweczka, która służyła mi za model do obrazu, odrzecze spokojnie artysta. Nudzisz się pani, otóż wskażę ci lekarstwo na nudy. Każ się zawieźć na przedmieście, do tego ubogiego dworku; w sieni znajdziesz drabinę, idź śmiało na poddasze:

Tam twe oko zaleje się łzami,
Lecz dobrze w oczy nędzy popatrzeć czasami,
Tam mieszka ta biedaczka a przy niéj brat mały,
Jak matka czuwa nad nim: zarobek swój cały,
Oddaje by go przykryć i nakarmić w głodzie,
Żyją biedne sieroty w miłości i zgodzie.
Chłopiec chodzi do szkoły, ona ślepnie z pracy,
I często kęsa chleba nie mają biedacy,
Jedź pani do nich jutro, niech cię nie przestrasza
Ulica pełna śmieci i zaduch poddasza,
Popieść chłopca, do małéj wyrzecz słodkie słowo,
Powiedz że ich za miesiąc odwiedzisz na nowo,
I zostaw im odchodząc złoto na kominie,
Uczyń tak, a daremno dzień twój nie przeminie!

Oblicze kobiety nową przybrało postać, oko jéj dziwnie spoważniało. Słowa miłosierdzie, praca, przyroda, nowy świat otworzyły przed nią. Zawstydzona przegląda rysunki, zachwyca się urokiem krajobrazów.

Jakąż one tchną wiejską prostotą!
Z jak szczerą się ta młodzież zabawia ochotą,
A ta stara kumoszka w wieśniaczéj odzieży
Jak żwawo przy kominie skubie kaczkę z pierzy,
Wyborna!

— To matka moja droga! zawoła artysta z zapałem!

— Przebacz pan! wyrzecze zawstydzona kobieta.

— Nie lękaj się pani, odpowie malarz, nie obraziłaś bynajmniéj téj poczciwéj kumoszki!

A jak ona mnie kocha, jaka pyszna z syna!
Pomnę kiédym chłopięciem brał węgiel z komina
I kreślił nim po ścianach i białéj podłodze,
Ona mi nie stanęła kamieniem na drodze;
„Bądźże chłopcze malarzem gdy ci tak sądzono!"
Rzecze, pobłogosławi i znów za wrzeciono.
Poszedłem, ona pieśnią odgania tęsknotę;
Gdym jéj dał rok po roku dwa medale złote,
Byłaż to wielka radość! Krząta się od rana,
Sprasza gości na ucztę, Mera i Plebana,
Niechaj-że biorą udział w jéj szczęściu i chlubie,
Dla nich to droga matka ową kaczkę skubie,
Dla nich zamiata izbę i pali ognisko,
Chwali się sławnym synem. O! złote matczysko!

Serce hrabiny uderzyło po raz pierwszy zdrowem tętnem. Lalka salonowa przeradza się nagle w kobietę silnej woli.

— Nowa karta, rzecze, odwraca się w pasmie dni moich:

Od ścian twojéj pracowni woń ożywcza wieje,
Twój głos wytknął mi życia poważne koleje,
Wskazał jak w powinności znaleźć szczęścia źródło,
W miłosierdziu jak duszę odrodzić wychłodłą,
Odchodzę rozbudzona siłą twéj podniety.

I opuszcza pracownię. Malarz pozostaje sam, chwilę duma smutno, podnosi nakoniec głowę, rzecze z uczuciem zadowolenia:

Naszydziłby świat ze mnie!... czem śmiech pusty świata.
Spełniłem com powinien... to moja zapłata!

Wysoko cenimy ten obrazek. Nietylko że poeta umiał w dramatyczny sposób, bez najmniejszego naciągania, przeprowadzić zupełny przełom w sercu kobiety, ale co więcéj wyraził myśl głęboką, iż w sercach ludu wieśniaczego biją żywe zdroje, co odrodzą kiedyś zbutwiałe społeczeństwo.

(*d. n.*)

Piosnka wstępna.

Ptaszę śpiewa jak umié,
Raz weseléj—boleśniéj—
Wiatr po listkach w swym szumie
W dal roznosi te pieśni ..

Ptaszę nie dba, czy w lesie
Wysłuchają pieśń drzewa,
Czy ją rosa rozniesie—
Dość, że śpiewa i śpiewa...

O! kto swoje marzenia
W zagwiazdeczne śle światy,
Czyste duszy westchnienia—
O! ten także skrzydlaty...

Śni—a wśród snu jawnego
W duszy gwiazdki mu wiszą—
Zda się do snu ją tego
Aniołowie kołyszą...

Całe światu on zorze
Już od Boga wyłudził—
Daj takiemu—o! Boże!
By się z snów tych nie zbudził...

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Pan Salezy mimo paraliżu, który tylko do pewnego stopnia pozwalał mu ruszać swemi członkami, czuł się dzisiaj zdrowszym niżeli zazwyczaj. Prawie pewnym krokiem wstąpił do gondoli a nawet nie kazał zamykać okien, jak to pierwéj zawsze robiono. z twarzy jego bynajmniéj niktby nie poznał, że jedzie do kobiety umierającéj, że będzie świadkiem ostatniéj jéj woli...

Gondola przybiła do schodów hotelu. Pan Salezy dosyć szparko wszedł na schody a nawet chorą sparaliżowaną zazwyczaj ręką otworzył dzisiaj drzwi pokoju.

Flaminia powitała go ze łzami, ale on nie wiele zważał na to, tylko czem prędzéj kazał się zaprowadzić do staruszki.

Stanął przed staruszką. Widok jéj sprawił na nim wielkie wrażenie...

Staruszka w ostatnich dniach była widocznie mocno osłabioną, nie mogła głowy sama podnieść z poduszki, ale miała przynajmniéj twarz i wejrzenie żyjącéj jeszcze kobiety. Ta, którą teraz pan Sależy obaczył, była już prawie nieboszczką.

A sprawcą téj tak nagłéj zmiany był testament.

Staruszka przedtem oswoiła się już była z myślą o śmierci, rozmawiała nawet o niéj jak o czemś co koniecznie nastąpić musi, czasem nawet dowcipnie odzywała się o drugim świecie, ale gdy wszedł do jéj pokoju prawnik z pisarzem, gdy rozłożono papier ostęplowany a pisarz z urzędową zimną miną wypisał zwyczajny nadgłówek każdego testamentu, w którym był i Bóg i Syn i Duch święty i było wspomnienie o zbliżającéj się wieczności i o ostatniem słowie na ziemi, wtedy oczy staruszki zamrużyły się, twarz nagle zbielała a usta posiniały... Uczuła zimno grobowe w nogach i w rękach, palce u rąk i nóg skostniały od zimna... Zaledwie tylko tyle pozostało u niéj życia, ile potrzeba było aby na świat jeszcze patrzyć i na kilka zapytań prawnika odpowiadać.

Przestraszył się pan Salezy gdy wszedł do pokoju umierającéj. Dopiero widok prawnika, pisarza, papieru—zgoła to co mu świat żyjący przypominało, przyprowadziło go nieco do przytomności.

Staruszka mile uśmiechnęła się do niego. Chciała mu nawet podać rękę, ale ręka była już bezwładną.

— Cieszę się—mówiła urywanym głosem—cieszę się... że jeszcze... was widzę... brama już otwarta... Trzeba iść... nie ma rady...

Pan Salezy dobył chustkę z kieszeni.

— Odchodzę z wielką pociechą—mówiła po chwili staruszka zostawiam wam dwoje ludzi szczęśliwych!..

Pan Salezy przyłożył chustkę do oczu.

— Jeżeli będą szczęśliwi—odrzekł ocierając oczy, to tylko pani zawdzięczają szczęście swoje?

Staruszka ruszyła głową.

— Nie, mówiła z wysileniem, oni... sami... sobie... na to... szczęście... zasłużyli.

Odetchnęła głęboko. Po chwili mówiła dalej:

— Miałam... z początku... zamiar... Flaminii wszystko zapisać... ale... namyśliłam się inaczéj. Wiem że jesteście sami bogaci... słyszałam to sama... z ust waszych .. mówiliście wiele o swoich bogactwach... dobrach i kapitałach... Eliza zawsze o tem mówiła... więc pomyślałam sobie... że Flaminia... mego majątku przy milionach swego męża... potrzebować nie będzie... Po cóż lać wodę do studni... Otóż majątek... zapisuję dzieciom siostry mego męża... bo tak musiałabym je skrzywdzić... Nie chcę aby nad moim grobem kto płakał na mnie... Ten urwisz już w Ameryce... Flaminia otrzyma... przyzwoitą wyprawę.

Słowa te powoli jak sztylety raz za razem uderzały w samo serce pana Salezego. Skamieniał pod temi razami. Ruszał głową do staruszki, ale coby to ruszanie znaczyło, słowami nie mógł objaśnić. Stał jak kamień, jak posąg z marmuru.

Tymczasem ozwał się prawnik i zaczął coś czytać.

Pan Salezy prawie stracił przytomność. Dano i jemu to samo pióro, uczuł je w palcach ale nic więcéj nie wiedział.

Po chwili nagły ruch jakiś przywrócił mu przytomność. Drzwi się otworzyły, wszedł ksiądz z wiatykiem.

Wszyscy odeszli do drugiego pokoju. Pan Salezy przyszedł już więcéj do siebie i z czemś gotował się. Mówił coś do siebie i niecierpliwie na drzwi patrzał.

Za drzwami ucichło coś nagle. Wkrótce wyszedł kapłan i rzekł do obecnych:

— Zasnęła.

Na te słowa wybuchnęła Flaminia głośnym płaczem i rzuciła się do pokoju nieboszczki. Za nią poszedł machinalnie i pan Salezy.

Podczas gdy Flaminia przy łóżku uklękła i ciepłą jeszcze rękę swojéj opiekunki gorąco ze łzami całowała, patrzał pan Salezy martwym wzrokiem na kobietę, która jednym pociągiem pióra wszystkie jego marzenia nielitościwie zmazała...

Stał chwilę, ruszał głową jakby pacierz odmawiał, a potem obrócił się i chciał odejść. Ale teraz nagle sił mu zabrakło, nogi wypowiedziały posłuszeństwo, nawet sparaliżowana ręka stała się sztywniejszą niżeli była przed chwilą, gdy z gondoli wychodził...

Dopomógł mu prawnik i sprowadził go na dół gdzie na niego czekał Francesco z gondolą.

XXXIII.

Maryan chodził właśnie po tarasie nad morzem. Słońce grzało przyjemnie a na cichych wodach szmaragdowych rysował się z wszelkiemi szczegółami kościół św. Jerzego z przeciwległéj wyspy. Cichą szybę morza przerzynały tylko czasami lotne gondole albo na chwilę zamącił je olbrzym trzymasztowy przybywający z drugiéj połowy świata. Ale wody zamykały się szybko za olbrzymem i znowu przedstawiały oczom gładką, wypolerowaną szybę, w któréj odbijało się szafirowe niebo, kościół świętego Jerzego i dwie białe chmurki, szybujące gdzieś szybko jak dwa stęsknione za krajem serca...

Maryan poił się tym widokiem. Uspokajał on mile rozdrażnione serce jego, które jeszcze nie mogło zapomnieć odjeżdżającego pana Krzysztofa. Biedny Herkules płakał jak dziecko—trzy razy wracał się z okrętu, aby Maryana ucałować jeszcze i powiedzieć mu aby Elizę od niego pożegnał... bo on nagle musi z Wenecyi odjeżdżać. Kazał mu również i Flaminii pokłonić się i nazwał siebie najnieszczęśliwszym na ziemi człowiekiem, że w całem życiu swojem nie mógł dla siebie żadnego kobiecego serca pozyskać!.. Ale dodawał prędko do tego:

— Źle mnie wychowano. Jestem prostym człowiekiem! Nie umiem nawet po francuzku i zgrabnie stąpać po dywanach w salonie!

Maryanowi jeszcze brzmiały w uszach te słowa zacnego pana Krzysztofa i patrzał na daleką, świecącą smugę morza, poza którą płynął gdzieś w téj chwili okręt parowy wiozący poczciwego człowieka do osamotnionego domku jego!.. A tu; dokąd z utajonym pragnieniem serca swego tak niecierpliwie jechał—nikt go w téj chwili prócz przyjaciela nie wspomina, nikt nawet o nim nie myśli!.. Zaledwie zapytano dla czego tak nagle odjechał potém zapytaniu—zapomniano o nim!

Uczuł to głęboko Maryan, ale na to nie miał żadnéj rady. Zbieg wypadków pokrzyżował wszystko trzeba było zgodzić się z tem co było. Tylko jasna myśl o Flaminii rozjaśniała mu ten przykry obraz jaki w jego pamięci zostawił odjeżdżający zacny pan Krzysztof. Pochwycił szybko tę myśl, aby przy niéj ogrzać zziębłe serce swoje. Szybko zawrócił do domu, aby ztamtąd udać się do Flaminii.

Wszedł do pokoju rodziców. Obaczył tam na twarzach wszystkich jakieś wielkie strapienie. Wszyscy wyglądali na ludzi skamieniałych. Pan Salezy siedział na fotelu jakby już zupełnie był paraliżem rażony. Pani Apolonia miała oczy zapłakane a Eliza zacisnęła usta jakby wstrzymywała gwałtem jakieś przykre, nieprzyjemne uczucie.

Maryan stał chwilę i patrzał zadziwionem okiem na wszystkich.

Podniosła się szybko z krzesła Eliza i z pewną gorączką rzuciła się ku niemu.

— O szczęśliwy człowieku! zawołała z przykrym uśmiechem na twarzy, podziękuj Bogu, że się to jeszcze zawczasu stało! Czy wiesz już?

— Czy wiem? Nic nie wiem! odparł Maryan z złowrogiem przeczuciem.

— Palczewska umarła.

— Umarła? powtórzył Maryan i chwycił za kapelusz.

Eliza wstrzymała go za rękę.

— Cóż chcesz robić? zapytała.

— Pójdę... do Flaminii, odpowiedział z gorączką Maryan, wyrywając się z rąk siostry.

— Zaczekaj... i posłuchaj.

— Ona tam sama.

— Jest krewna nieboszczki.

— Same kobiety. Trzeba iść do nich.

— Nieboszczka zrobiła formalny testament.

— I cóż z tego?

— Majątek zapisała krewnym po mężu.

Maryan patrzał chwilę na siostrę. Po twarzy jego przemknęło lekkie zdziwienie. Wnet jednak ogarnął go znowu dawny niepokój.

— Puść mnie, rzekł do siostry, muszę tam pójść jak najprędzéj.

— Zapewnie nie słyszałeś, ozwał się pan Salezy głosem przytłumionym, co mówiła Eliza!

— Palczewska zapisała wszystko dzieciom siostry nieboszczyka swego męża, dodała pani Apolonia.

Maryan patrzał koleją to na matkę to na ojca.

— Jeżeli tak zrobiła, odrzekł po chwili, to widać że taka była jéj wola.

— Ale widzisz synu, mówił pan Salezy, to zmienia zupełnie sytuacyę.

— Zastanów się teraz nad tem, co jest przed tobą, uzupełniła pani Apolonia.

— Przed tobą jest przepaść! Jeżeli jéj nie widzisz w téj chwili, to obowiązkiem naszym jest zwrócić na nią twoją uwagę.

Maryan przyłożył rękę do gorącego czoła.

— Sytuacya, odrzekł, zmieniła się trochę, ale nie widzę jeszcze żadnéj przepaści, przed którą miałbym się cofać.

— Cofnij się drogi Maryanie, wierzaj mi, cofnij się, póki czas jeszcze, wołała Eliza.

— Dobrze że zawczasu rzecz się wyklarowała.

— Bóg litościwy czuwał nad tobą.

— Nietylko nad tobą ale nad nami wszystkimi!

Maryan patrzał zdziwionem okiem dokoła.

— O cóż tu właściwie chodzi? zapytał.

Eliza położyła mu rękę na ramieniu.

— Chodzi poprostu o to mój Maryanie, rzekła Eliza do niego z życzliwością siostrzaną, abyś się z tego projektowanego związku wycofał.

— Projektowanego związku? powtórzył Maryan jakby słów siostry nie rozumiał.

— Uprojektowaliśmy tak, zauważył pan Selezy, bo to wydawało nam się zrazu w innem świetle.

— Byliśmy prawie pewni że staruszka zapisze Flaminii swój majątek...

— Zupełnie na to się zanosiło;

— Nawet sama o tem nam mówiła.

— Przecież radziła się, w jaki sposób to zrobić.

— A tymczasem wszystkich nas w pole wyprowadziła.

— Jeszcze jakby na szyderstwo w ostatniéj chwili powiedziała, że Flaminii dlatego nic nie zapisuje, bo Flaminia idzie za mąż świetnie, za człowieka milionowego.

Rozśmiał się z ironią Maryan i spojrzał na Elizę. Eliza spuściła oczy w ziemię.

— Ciekawy jestem, rzekł z uśmiechem, kto jéj o tych milionach naszych prawił?

Eliza milczała nie podnosząc oczu.

Spojrzał na matkę. Pani Apolonia spuściła także oczy w ziemię.

— Widzisz Maryanie, ozwał się pan Salezy, zawsze przed ludźmi wystawia się rzeczy w lepszem świetle.

Maryan milczał czas niejaki patrząc koleją to na siostrę to na rodziców. Potem uśmiechnął się i rzekł:

— I pocóż się dziwić staruszce, jeżeli uznała za rzecz stosowną nie dawać swego majątku téj, która wychodzi za człowieka milionowego, wolała dać potrzebniejszym.

Milczenie głębokie zapanowało w pokoju.

— Nie czas po temu, ozwała się Eliza, aby szukać winnych... bo fakt pozostanie zawsze faktem, który tutaj rozstrzyga. Bogu jeszcze dziękować trzeba, że się to stało zawczasu.

— O jakim fakcie mówicie?

— O fakcie: że Flaminia jest dzisiaj ubogą, bez żadnego posagu panną...

— I cóż daléj?

— Reszty możesz się sam bardzo łatwo domyśléć.

— Chcę abyś to jasno powiedziała.

— Sądzę, że od projektów swoich odstąpisz.

— Od jakich projektów?

— Ożenienia się z Flaminią.

— Przecież to nie są żadne projekta... Ja Flaminią kocham!

— Maryan powiódł płonącem okiem dokoła. Głębokie zapanowało milczenie.

— Eliza, mój Maryanie, ozwał się pan Salezy, chciała tylko zwrócić twoją uwagę na zmienioną sytuacyę. Zmiana sytuacyi nie obowiązuje nas do obowiązków dawniejszych. Powodując się rozsądkiem...

— Jak przykrą rolę bierze tutaj rozsądek na siebie, przerwał Maryan. Czyż jest on w stanie wyrozumować wszystko, czyż może podłość obronić, a uczucie w sercu człowieka zagasić? Czy o takim rozsądku mam tutaj słuchać?

— Nie smuć się, przede wszystkiem trzeba zimno tę rzecz rozważyć.

— Cóż ta zimna rozwaga pomoże?

— Trzeba życie brać z realnéj strony, zauważyła Eliza, trzeba się z jego wymaganiem obliczyć i do tego się zastosować. Wiesz dobrze jakie jest nasze położenie materyalne... w innych warunkach taki twój krok mógłby temu położeniu znacznie dopomódz, dzisiaj może tylko je pogorszyć i to pogorszyć bardzo niebezpiecznie. Rozważ to dobrze.

Twarz Maryana była podobną do rozpalonego bronzu. Potarł ręką po gorącem czole i odrzekł:

— Nie przeczę temu coś powiedziała. Ale z temi, jak je nazywasz realnemi warunkami życia trzeba się wtedy obrachować, gdy się jeszcze zdala na kobiety patrzy. Jeżeli zaś nastąpiło już takie zbliżenie że serce z sercem rozmówić się mogło, to wtedy niepodobna jest według twojéj metody obliczać się z warunkami, wtedy jest już za późno.

— Na rozsądek nie jest nigdy za późno.

— Ależ to już nie jest rzeczą rozsądku ale rzeczą serca.

— Serce... może się zabliźnić.

— Ale podłością jest... liczyć naprzód na to!

— Czy się tylko lękasz... podłości? W świecie uczuć nie ma żadnych obowiązków?

— Czy tak sądzisz?... Mogę ci na to odpowiedzieć, że nie obowiązek zaangażowanego honoru, ale poprostu nieodparta potrzeba serca każe mi wytrwać w mojem postanowieniu.

— Cóż ostatecznie chcesz zrobić?

— Pójdę do Flaminii, którą teraz opuszczoną

i pozbawioną wszelkiéj opieki jeszcze bardziéj, jeszcze mocniéj kocham...

Rzekłszy to wypadł do sieni.

Pozostali spojrzeli smutno na siebie. Jedni drugim przypisywali w duchu winę tego wszystkiego co się stało.

(*d. c. n.*)

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ **Bulwera**

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

AKT II.

Scena I.

Przedpokój w nowym domu Evelyna; w rogu parawan, p. Sharp pisze przy biórku, przed nim leżą porozrzucane książki i papiery. Portrecista; Wydawca, Budowniczy, Tapicer, Złotnik, Fabrykant, Handlarz i Krawiec (służący przebiegają w różnych kierunkach przez scenę).

Fabrykant (do Krawca pokazując mu rysunek). Tak panie; to jest powozik zwany Evelyn. Pan Evelyn teraz jest w wielkiéj modzie, pieniądz robi człowieka panie.

Krawiec. Ale krawiec robi gentelmana! To ja, Trautz, z ulicy St. James, który biorę jego miarę i przerabiam brzydkich chłopaków powierzanych mi przez ojców i matki, na ładnych młodzieńców.

Budowniczy. Pan Evelyn bardzo wiele ma gustu. Zamierza kupić villę, żeby ją zburzyć i wybudować na nowo. Ach! panie Mac-Finch, rysunek na tacę, prawda?

Złotnik, Tak, tarcza Aleksandra Wielkiego, do lodów i limonady. Będzie kosztować dwa tysiące funtów.

Budowniczy. Bagatela!

(Drzwi w głębi otwierają się, wchodzi Evelyn).

Evelyn. Tłum jak codzień. Dzień dobry. Ach! taboret, gotowe już rysunki draperyi? Bardzo dobrze. A pan co sobie życzysz, panie Crimson.

Portrecista. Gdybyś mi pan pozwolił odmalować swój portret zrobiłbym majątek. Wszyscy mówią że jesteś pan pierwszym znawcą malarstwa.

Evelin. Malarstwa, malarstwa! Jesteś pan pewnym że się znam na tem?

Portrecista. Jakto panie, przecież pan kupiłeś wielki obraz Corregia za 4000 funtów?

Evelin. Prawda, rozumiem. Te 4000 funtów zrobiły mnie znawcą. Zgłoszę się do pana, panie Crimson, teraz żegnam. Panie Grab, a! to pan jesteś tym wydawcą który odmówił mi 5 ft. za mój poemat. Miałeś pan słuszność: liche to rymy.

Wydawca. Liche rymy! Panie Evelyn, to było wspaniałe! Ale czasy były złe wówczas.

Evelin. Dla mnie bardzo złe były.

Wydawca. Ale teraz jeśli mi pan raczysz dać pierwszeństwo, będę popychać ten interes, będę popychać z całych sił. Wydaję tylko dzieła ludzi należących do wielkiego świata; a człowiek pańskiego stanowiska powinien być znanym autorem. Ofiaruję panu 500 funtów za ten poemat!

Evelyn. Pięćset funtów kiedy nie potrzebuję pieniędzy, a dawniéj pięć funtów byłoby mi się wydało fortuną.

„Teraz jestem bogaty, ile znaczą te słowa,
Tom lepszy i uczciwszy, mądra moja głowa.“

(Zwraca się do reszty otaczających go w koło).

Handlarz. Trzydzieści młodych koni sprowadziłem z Yorkshire, panie.

Fabrykant (pokazując rysunek). Powóz zwany Evelyn!

Złotnik (pokazując swój rysunek). Podstawa do lodów à la Evelyn.

Krawiec (z powagą rozwijając przyniesione zawiniątko). Panie, przyniosłem surdut nowego kroju, surdut à la Evelyn.

Evelyn. Ach! idźcie do.. to jest, idźcie do domu. Róbcie mnie sławnym jak chcecie, powozami, tacami, surdutami, meblami, tak, jak już sławnym jestem przez kupno obrazu a wkrótce będę przez wydanie poematu. Oddaję się wam całkowicie, idźcie tylko. (wychodzą).

(wchodzi Stout).

Evelyn. Stout, wyglądasz rozgorączkowany.

Stout. Dowiaduję się przed chwilą, że kupiłeś wielki majątek, Groginhole...

Evelyn. Kupiłem. Sharp powada że to za bezcen.

Stout. Otóż, mój drogi, przyjaciel Hophim członek parlamentu nie przeżyje miesiąca, ale interes ludzkości nie dozwala na żale za pojedynczemi indywiduami! Patrjota Popkins zamierza stanąć jako kandydat z miasta jak tylko Hopkins umrze. Twój wpływ może zapewnić jego wybór, teraz nadchodzi chwila dla ciebie odpowiednia. Idź, idź naprzód w sprawie oświaty. Co widzę? Glossmore nadchodzi.

Scena II.

Stout, Glossmore, Evelyn, Sharp zawsze przy biórku.

Glossmore. Jakież to szczęście że cię zastaję w domu. Hoptius umrze lada chwila. Popkins, piwowar już snuje intrygi prawdziwie nie po szlachecku. Zatrzymaj swój głos przy wyborach dla młodego lorda Cipher, wielkiéj wartości człowieka. Teraz największe grozi niebezpieczeństwo. Konstytucya zawisła od jego powrotu. Głosuj za lordem Cipher.

Stout. Popkins jest twoim protegowanym.

Evelyn (w zamyśleniu). Cipher i Popkins, Popkins i Cipher. Oświata i Popkins, Cipher i Konstytucya. Prawdziwie jestem w kłopocie, Stout ależ ja nie znany w Groginhole.

Stout. Ale twój majątek jest tam znany.

Evelyn, Alež bezstronność wyborów, niezależność głosujących.

Stout. Upewniam cię że Cipher dopuszcza się przekupstw obrzydliwych. Zniwecz jego intrygi. Osłoń więc przywileje miasteczka, wydal od siebie każdego kto głosuje przeciwko oświacie i Popkinsowi.

Evelyn. Słusznie, precz z tymi co sobie pozwalają wielbić wolność inną nie *naszą* wolność. To jest wolność prawdziwa.

Glossmore. Cipher przedstawia pewne rękojmie dla okolicy, będzie miał 50,000 funtów rocznie, Cipher nie będzie nigdy głosował bez zastanowienia się jak przyjętym będzie wniosek przez ludzi mających 50,000 funtów dochodu.

Evelyn. Słusznie, tak jakby nie było własności bez prawa, tak, prawo dla własności ułożone, jest celem prawa. To jest właściwe prawo.

Stout. Popkins jest za jak największą oszczędnością, bo jakiż to użytek robią z publicznych pieniędzy? Oto dają naprzykład prezydującemu 5,000 ft. rocznie, a mój szwagier który zasiada w radzie parafialnéj, upewnia mnie że przyjąłby chętnie posadę prezesa za mniejszą o pół płacę.

Glossmore. Dosyć panie Stout. Pan Evelyn za bogaty na postępowca.

Stot. A za rozumny na bigota i zaufanego.

Evelyn. Pan Evelyn nie zna się zupełnie na polityce. Czyście grali kiedy w volanta?

Glossmore i Stout (razem). W volanta?

Evelyn. Tak w volanta jest to walka między dwoma przeciwnikami, obie strony ze szczególniéjszym zapałem odrzucają coś sobie rzucane w górę, wysoko, niżéj, tu, tam, w różne strony, jest wszędzie i nigdzie! Jak poważne miny mają gracze, jak niespokojnie patrzą otaczający. Co przy tem hałasu! A kiedy to coś upadnie na ziemię, wyobraźcie sobie jest to tylko kawałek korka i trochę piórek. Idźcie i grajcie sami, ja tego nie umiem.

Stout (na str.). Smutne ograniczenie. Arystokrata.

Glossmore. Bezduszne zasady, znać parweniusza!

Stout. Więc przynajmniéj nie będziesz przeciwko nam? Przyprowadzę ci jutro Popkinsa.

Glossmore. Nie zobowiązuj się do niczego dopóki ci nie przedstawię lorda Cipher.

Stout. Muszę dowiedzieć się o zdrowie Hopkinsa. Powrót Popkinsa będzie stanowić epokę w historyi. (wychodzi).

Glossmore, Muszę być w klubie, oczy całego kraju zwrócone są dziś na Groginhole. Jeśli Cipher padnie, konstytucya zginie.

(wychodzi).

Evelyn. Obie strony jednakowe. Pieniądz przeciwko człowiekowi. Sharp, zbliż się do mnie, chciałbym popatrzyć na ciebie. Jesteś moim prawnikiem, prowadzisz moje interesa. Ufam ci, mam cię za uczciwego, ale co to jest uczciwość, gdzie ona ma siedlisko?

Sharp. Sądzę panie że chyba w sercu.

Evelyn. Panie Sharp, prędzéj w kieszeni. Uważ tylko: kładę ten kawałek żółtego metalu na tym stole, obserwuje jego i ciebie; człowiek tu, złoto tam. Po ulicach chodzi wielu ludzi równie uczciwych jak pan jesteś, ludzi którzy się poruszają, myślą, czują i rozumieją równie dobrze jak my; bez zarzutu pod względem kształtu nieśmiertelną duszą obdarzeni, którzyby jednak gdyby ich kieszenie przez trzy dni były puste, sprzedali myśl, rozsądek ciało i duszę w dodatku, za ten kawałek metalu. Czy to jest winą człowieka? Nie, to wina ludzkiego rodzaju. Bóg stworzył człowieka spójrz tylko co człowiek uczynił swojem bożyszczem. Kiedym był ubogi, nienawidziłem świata; dziś, bogaty pogardzam nim. Głupcy, szaleńcy, obłudnicy. Ale, ale, Sharp, poślij tam 100 funtów temu biednemu stryczarzowi którego dom spalił się wczoraj.

(wchodzi Graves).

Ach! Graves, mój przyjacielu, co to za świat! Brytan który się łasi swemu panu a kąsa żebraka. Ha! ha! on teraz mnie się łasi, bo żebrak przekupił Brytana.

Graves. Okropny świat! Ale astronomowie upewniają że jest jakaś kometa która go spali któregokolwiek dnia: to mnie pociesza.

Evelyn. Każda godzina przynosi smutną naukę, charakter nasiąka goryczą, uczucia również, serce zamienia się w kamień. Do dyabła, Sharp! czegoż stoisz i na co czekasz? Czy nie masz ani iskierki ludzkiego uczucia? Czemu nie idziesz do strycharza?

(Sharp wychodzi).

Scena III.

Graves, Evelyn.

Evelyn. Graves, ze wszystkich moich nowych

przyjaciół a liczba ich mnoga, jesteś jedynym którego szanuję; jest pewna sympatya pomiędzy nami, z tego samego punktu patrzymy na życie. Jestem prawdziwie rad że cię widzę.

Graves (pomrukuje). Ach, dla czego miałbyś być rad z widoku tak nieszczęśliwego człowieka?

Evelyn. Bo i ja jestem nieszczęśliwy.

Graves. Ty! co znowu! Ciebie los nie skazał na utratę żony!

Evelyn. Tak, ale niech licho porwie, mogę być skazany na ożenienie się. Usiądź i słuchaj. Potrzeba mi powiernika. Ojciec moj umarł kiedym był jeszcze małym chłopcem, matka moja od ust sobie odejmowała żeby mi tylko dać edukacyą. Ktoś jéj powiedział że nauka znaczy więcéj niż majątek, to kłamstwo, Graves!

Graves. Obmierzłe kłamstwo.

Evelyn. Na podstawie tego kłamstwa zostałem oddany do szkoły, odesłany do kollegium jako stypendysta. Ty wiesz co to znaczy. Duma równa się panom a prześlizgywać się musi pomiędzy paniczami i studentami z liberyą paupra na grzbiecie. Brałem pierwsze nagrody, odznaczałem się, patrzyłem wysoko, dążąc do zdobycia stanowiska, to jest niezależności dla siebie i kącika spokojnego dla matki. Jednego dnia młody lord znieważył mnie, odpowiedziałem mu, uderzył mnie, odmówił przeproszenia, odmówił załagodzenia sprawy, wszakże byłem tylko stypendystą, paryą, rzeczą przeznaczoną do znoszenia obelg! Byłem jednakże człowiekiem i obiłem lorda szpicrutą w przedsionku, przed oczyma całego kollegium. Kara która spotkała lorda wprędce została zapomnianą ale mnie wygnano, przyszłość moja została zwichniętą. W tem leży różnica pomiędzy bogatym a ubogim; żeby zachwiać jednego trzeba uraganu, najlżejszy powiew może obalić drugiego. Przyjechałem do Londynu. Dopóki moja matka żyła miałem dla kogo pracować, to też pracowałem, troskałem się walczyłem żeby dojść do czegoś. Matka umarła i wtedy dopiero dusza moja upadła pod brzemieniem rozpaczy, przyjąłem los mój bez walki; wyżyny rozciągające się nade mną wydały mi się niedostępne do zdobycia i przestałem się trworzyć co się ze mną stanie. W końcu zgodziłem się na rolę ubogiego kuzyna, sekretarza w domu Sir Johna Vesey. Ale miałem powód do tego. W tym domu był ktoś kogo pokochałem od pierwszego wejrzenia.

Graves. I byłeś wzajem kochany?

Evelyn. Tak myślałem, alem się omylił. Na godzinę zaledwie przed odziedziczeniem majątku wyznałem jéj moją miłość i... zostałem odrzucony z powodu ubóstwa. Teraz uważaj tylko: przypominasz sobie list który Sharp oddał mi po odczytaniu testamentu?

Graves. Przypominam sobie; cóż w nim było?

Evelyn. Po wielu napomknieniach, wadach i przestrogach, pół ironicznie pół seryo napisanych ach! biedny Mordaunt znał dobrze świat! następuje... ale wolę przeczytać ci oryginał. (czyta) „Wybrawszy ciebie za dziedzica mojego mienia, ponieważ uważam majątek za depozyt który się tam umieścić powinien gdzie może być najlepiéj użyty, kończę nie nałożeniem warunku, ale wyrażeniem życzenia. Jeśli nie masz w sercu dawniejszéj a nieprzezwyciężonéj miłości chciałbym wpłynąć na twój wybór. Georgiana Vesey najbliższa moja krewna i siostrzenica, i kuzynka moja Klara Douglas, córka drogiego mi niegdyś przyjaciela, oto dwie, z których jedna radbym żeby została twoją żoną. Jeśli pożyję dość długo żeby powrócić do Angli, będzie staraniem mojem doprowadzić do skutku to małżeństwo.“

Widzisz sam że nie jest to formalny warunek: majątek nie zawisł od jego spełnienia, jednak nie potrzebuję ci mówić że wdzięczność moja uważa to za pewien rodzaj moralnego zobowiązania. Tyle już miesięcy upłynęło od czasu kiedym się o tem dowiedział, powinienbym już powziąść postanowienie; wiesz już nazwiska: Klara Douglas jest właśnie tą która odrzuciła moją miłość.

Graves. Ale teraz przyjmie cię niezawodnie.

Evelyn. To sądzisz że do tego stopnia jestem niewolnikiem namiętności że chciałbym otrzymać za pieniądze to czego miłością zdobyć nie mogłem?

Graves. Musisz jednak wybierać; według zwyczajnego pojęcia wdzięczności, powinieneś to uczynić. Z drugiéj strony, przesiadujesz u nich ciągle, świat zwraca na to uwagę: trzeba raz wyjść z fałszywego położenia. Tak, czas już wybierać pomiędzy tą którą kochasz, a tą któréj nie kochasz.

Evelyn. A więc z dwóch wybierając, wolę się ożenić z tą od któréj mniéj będę wymagał. Małżeństwo w którem obie strony mają dla siebie chłodny szacunek i grzeczność może nie dać szczęścia, ale może dać spokój i zadowolenie. Ale zaślubić kogoś kogo się uwielbia, a czyje serce zamknięte jest dla nas, wzdychać do skarbu a nie módz go osiągnąć, czcić posąg a nie módz go przywołać do życia... O! takie małżeństwo byłoby piekłem tem straszniejszem, że raj był tak blisko.

Graves. Georgiana jest ładna, ale próżna i płocha (na str.) co prawda nie ma on prawa być wymagającym, nie znał nigdy mojéj Maryi! (głośno) Tak, mój drogi przyjacielu, myślę właśnie nad tem ze będziesz równie nieszczęśliwym jak ja jestem. Jak się ożenisz będziemy razem wzdychać.

Evelyn. Może się mylisz w sądzie o Georgianie, może ona ma szlachetniejszą naturę niżby się z pozoru zdawało. W ten sam dzień kiedy testament został odczytany, tylko o wcześniejszéj porze, przysłano list, zaadresowany obcem czy zmienionem pismem, podpisany „od nieznanego przyjaciela Alfreda Evelyna“ biednéj kobiecie, o wsparcie któréj prosiłem Sir Johna, i któréj adres dałem tylko Georgianie. W liście była summa dość znaczna jak na panieńską kassę.

Graves. Czemuż nie starałeś się dojść prawdy?

Evelyn. Nie śmiałem. Czasami, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu spodziewałem się że to było dzieło Klary! (wyjmując list z kieszeni i patrząc nań). Nie, nie mogą poznać pisma. Graves, nienawidzę téj dziewczyny.

Graves. Kogo? Georgiany?

Evelyn. Nie! Klary! Ale dzięki Bogu, zemściłem się już trochę na niéj. Przysuń się do mnie (szepcząc) podmówiłem Sharpa żeby powiedział że w liście Mordaunta do mnie był kredyt, zapisujący Klarze 20,000 funtów.

Graves. A to nie było prawdą? Jakież to dziwne ze strony Mordaunta że zapomniał o niéj w testamencie.

Evelyn. Jedno z jego dziwactw, zresztą co prawda Sir John napisał mu że Lady Franklin przyjęła Klarę za córkę. Ale rad jestem z tego, dałem pieniądze, nie jest już zależną od nikogo. Nikt jéj już teraz nie ubliży i mnie to zawdzięcza, a nie domyśla się nawet tego, nie domyśla się. Mnie to zawdzięcza, mnie którego odepchnęła; mnie biednemu sekretarzowinie. Ha, ha! czy nie dobry odwet?

Graves. Jesteś dobrym i szlachetnym Evelyn, i rozumiem cię doskonale. A może Klara widziała adres, i podyktowała komu ten list?

Evelyn. Tak myślisz? Idę do nich zaraz.

Graves. Tak? No, to i ja z tobą pójdę. Lady Franklin śliczna kobieta! Gdyby nie była tak wesoła sądzę... że... że mógłbym...

Evelyn. Nie, nie, nie myśl o niczem podobnem; kobiety są jeszcze gorsze od mężczyzn.

Graves. Prawda; miłość to czyste szaleństwo,

Evelyn. Czuć, to znaczy cierpieć.

Graves. Mieć nadzieję to znaczy być zawiedzionym.

Evelyn. Ja już z miłością wziąłem rozbrat.

Graves. Moja miłość na wieki pogrzebana z Maryą.

Evelyn. Jeźli tylko Klara to napisała.

Graves. Spiesz się, bo Lady Franklin gotowa wyjechać. Padół płacze to wszystko, padół płaczu.

Evelyn. Padół płaczu... w saméj rzeczy.

(wychodzi).

(Graves powraca po kapelusz).

Graves. Zapomniałem kapelusza. Zawsze moje szczęście. Gdybym był kapelusznikiem z pewnością chłopcy rodziliby się bez głów.

(wychodzi).

(*d. c. n.*)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg).

Notatki przyrodnika na pokładzie „Challengera“ p. H. N. Moseley, traktują głównie o historyi naturalnéj wysp Fidżi, które tak żywe w p. Moseley obudziły uwielbienie i podziw, iż z najszczerszem przekonaniem stara się wmówić całemu światu: że do zupełnego szczęścia rodzaju ludzkiego nicby nie brakowało, gdyby się wszyscy tam osiedlili. Lecz obok cudów przyrody jakie opisuje, spotykamy tu i owdzie pewne szczegóły, które mogłyby odstręczyć najodważniejszego turystę od dokładnego poznania tych wysp. I tak, odbywając swoje naukowe poszukiwania w pobliżu Nihau, p. Moseley ujrzał ogromny stos kości ludzkich, były to szczątki królewskich festynów ludożerczych plemion. Autor zapoznał się tam z pewnym miejscowym gentelmenem który wyznał mu z całą naiwnością: iż kiedyś on sam był wielkim lubownikiem tego soczystego mięsa, i że obecnie nawet poszukują go za to że porwał za włosy jakąś białą kobietę którą chciał się uraczyć. Zarzekał się jednak iż nigdy w życiu nie będzie już spożywał podobnych potraw, i gdyby mu nawet ofiarowano kawałek samego pana Moseley, nie chciałby ani skosztować, choć mu się wydaje bardzo smaczny.

Dotąd mimo starań Anglików, umysłowy rozwój Fidżyan postępuje nader powoli; nie nauczyli się nawet jeszcze znać monet angielskich, przyjmują tylko szilingi, zaś korony i pół korony odrzucają z pogardą. Misyonarze uczą ich nowéj religii, ale pod tym względem mają jeszcze nader nieokreślone pojęcia. Starszy syn byłego króla, Rata Dawid, zaprosił autora aby przyszedł do niego na „kuava;„ przygotowano bardzo okazałe przyjęcie, wkrótce jednak zobaczył że całą ucztę ma stanowić gorzałka. Zaproponował aby dla urozmaicenia urządzono tańce, ale królewicz odrzekł mu ze skruszoną miną: że sobota jest za blizko niedzielnego poranku, byłoby to więc bardzo naganne, gdyż misyonarze w taki dzień zakazują tańca, ale że nie zabraniają pić, więc postanowił raczyć się gorzałką aż do świtu.

Pan Aylward, człowiek bardzo wiarogodny i ogólnie poważany, wydał bardzo dziś na dobie będące dzieło *The Transvaal of today* (Dzisiejszy Trans-

vaal). Autor lat kilka przemieszkiwał w tym kraju, zna więc dobrze życie i obyczaje Bersów czyli fermierów hollenderskich którzy pozakładali kolonie w Transvaalu, a następnie Anglicy zagarnęli ich rzeczpospolitą, po zaanektowaniu kraju. Pan Aylward nie pochwala téj polityki; z wielkiem uznaniem wyraża się o Bersach i bardzo wątpi czy zmiana rządu zapewniła i zapewni im jakieś korzyści, gdyż, dotąd przynajmniéj ani pod względem obyczai ani wychodzenia, zmiana ta nic im dobrego nie przyniosła. Łatwowierni i dobroduszni krajowcy, bywają bardzo często wyzyskiwani przez białych niegodziwców. Niedawno temu, wódz pewnego sąsiedniego plemienia, zapragnął koniecznie posiadać działo, i udał się do pewnego angielskiego squatter'a aby mu je zrobił. Ma się rozumiéć „squatter“ nie miał najmniejszego pojęcia o odlewaniu armat, ale za to był wytrawnym oszustem. Oznajmił tedy wodzowi że potrzeba mu na to co najmniéj 12,000 funtów najlepszego mosiądzu, a gdy ten miéć będzie zajmie się odlaniem działa brat jego, pracujący w arsenale w Portsmouth, który ma przybyć niezwłocznie. Kłopotał się jednak zkąd wziąść tego nie istniejącego brata, aż usłużył mu w tem przypadek, często sprzyjający śmiałym łotrom. Właśnie gdy raz ów wódz przyszedł dowiedzieć się czy prędko otrzyma upragnione działo, wszedł do chaty oszusta jakiś włóczęga, który chroniąc się przed poszukiwaniami policyi, uciekł do Basolulandu i przychodził prosić o kawałek chleba Zaledwie przestąpił próg chaty, bezczelny oszust rzuca mu się na szyję i szepnąwszy parę słów do ucha, wita go z oznakami największéj radości. Przybyły zrozumiał i wybornie odegrał rolę oczekiwanego brata, a wódz dzikich pozdrowił go jak najprzyjaźniéj. Nazajutrz zabrano się do roboty; zdołali roztopić pewną ilość kruszcu, który przybrał niby formę armaty; wódz nie posiadał się z radości, a dwaj oszuśbi postanowili jeszcze co z niego wyłudzić, zanim uciekną ze swoim łupem. Oznajmili więc że do ukończenia działa potrzeba im niektórych niezbędnych narzędzi, których tylko w Natalu dostać mogą, ale że władze za nic w świecie nie sprzedałyby ich czarnym, więc sami muszą udać się po nie. Wódz dostarczył im do téj podróży szesnaście koni; w chwili odjazdu oznajmili znowu iż muszą jeszcze miéć pewną dość znaczną ilość srebra dla obicia niem otworu, a wódz nie widział innéj rady jak zabrać swoim poddanym wszystkie srebrne pieniądze, jakie uzbierali sobie przez handel z Anglikami. Odarłszy biedaka ze wszystkiego, oszuści uciekli, zostawiając tylko ową niby armatę.

Według p. Aylward, Transwaal jest istnym rajem ziemskim; cała kolonia cieszy się spokojem, porządkiem i wzorową czystością, to téż emigranci przybywają tłumnie ze wszystkich stron Anglii, osiedlając się w tym kraju nieznanym dotąd Północy, którego pracowita ludność uprawia ziemię, nie szukając w jéj wnętrzu złota.

Podczas pobytu swego w Transvaalu, pan Aylward przekonał się na sobie o magnetycznéj sile węża. Leżąc raz w cieniu na trawie, ujrzał zbliżającego się olbrzymiéj wielkości węża, który zdawał się jakby odłamem jakiegoś szkaradnego potworu. Wąż podsunął się za blizko aby mógł do niego strzelić. Potwór wlepił w niego straszne oczy; zdawało się że lada chwila rzuci się na niego. „Wtem, mówi autor, uczułem że ogarnia mnie zawrót, nie mogłem oderwać oczu od potworu i mimowolnie głową powtarzałem jego obroty... Zdało mi się że oczy węża powiększają się ciągle bezmiernie, przybierając najświetniejsze odcienia już to szmaragdu, już rubinu i opalu i przykuwały mnie nieruchomie do miejsca. Nagle zaszeleściało coś w trzcinie, urok znikł, potwór ukrył się w trawie.“ Autor dowiedział się późniéj że wąż ten znany był w kraju. Kiedyś młody jakiś chłopiec odciął mu siekierą ogon; nie zginął jednak z téj rany i odtąd nikt nie odważył się wyzwać go do walki.

(*d. c. n.*)

POGADANKA.

Po długich, ciężkich i smutnych dniach deszczu i słoty, nareszcie zaświeciło nam znowu słońce i Ogród Saski zapełnił się po brzegi pięknemi toaletami i piękniejszemi jeszcze twarzyczkami ich właścicielek...

Niejedne oczy świeciły figlarnym blaskiem; niejedna rączka z nieopisanym wdziękiem trzymała parasolkę, zasłaniając się przed ciekawem spojrzeniem... promieni słonecznych; niejeden rząd ślicznych białych ząbków wynurzył się z po za różanych warg wśród wesołego uśmiechu... Tłumy używających świeżego powietrza snuły się swobodne, szczęśliwe!... Około fontanny darmo się było kusić o wynalezienie wolnéj ławeczki, a poczciwym szafarkom z Towarzystwa Dobroczynności, darzącym przechodniów jedyną dobrą w Warszawie wodą, zabrakło kubków; tak bowiem wielu było spragnionych.

W Łazienkach taż sama historya, też same swobodne spojrzenia, wesołe twarze, z wyjątkiem, że trudniéj o wodę i pustą ławeczkę dla wypoczynku. Ale w zamian można się było przyjrzéć wesoło pluskającym rybkom lub żwawym skrętom łabędzi na tamecznym stawie, które także były wówczas weselsze i pysznie wznosiły piękne swoje szyje.

Jasne słonko, jakże ty zdołasz świat cały zmienić i uweselić!...

Zdawało się nawet, że satyr czuléj wabi do siebie sylwannę, tanecznik żywiéj pląsa, odpowiadająca mu po przeciwnéj stronie pałacu tanecznica silniéj uderza w kastanietę, a nawet, nawet... że marsowa twarz bohatera z pod Wiednia uśmiecha się radośnie do szczęśliwych Warszawian!...

Cieszyliśmy się wszyscy serdecznie, niestety jednak... nie długo! Dziś deszcz już znowu padał kilkakrotnie, a błękity znowu ciemnemi zakryte chmurami. O odetchnieniu świeższem powietrzem ani zamarzyć nie wolno, szczęściem jednak można przynajmniéj pobiedz do przybytku sztuki, napaść oczy i ducha prawdziwie wzniosłą poezyą Schakespeara, który od przybycia lwowskiego gościa p. Bolesława Ładnowskiego, nie schodzi ze sceny letniego teatru...

Prawdziwych tragików o szerokiéj skali uczucia i wyobraźni, w dzisiejszych czasach niemal na palcach policzyćby można, i to nietylko u nas, lecz w ogóle w całéj Europie; nie mówiąc już o tragikach, którzy Szekspira grać mogą i umieją. Ładnowski występami swymi dowiódł potężnego swego talentu i do owéj małéj liczby najzdolniejszych artystów przymusem zaliczyć się kazał; przymusem powtarzamy, gdyż wielu, wielu miał niedowierzających. Trzema pięknemi kreacyami geniuszu nieśmiertelnego Szekspira, w których dotychczas nam się ukazał to jest *Hamletem*, *Otellem* i *Romeem* zdobył serca widzów i zniewolił ku sobie nawet najwięcéj wymagających, nawet tych, którzy w Rossim widzieli ideał wykonawców dzieł genialnego wieszcza Albionu, a w zasłużonym ze wszech miar Królikowskim jedyną i ostatnią podporę prawdziwéj sztuki dramatycznéj, jedynego polskiego tragika...

Gra Ładnowskiego była pyszna, nacechowana oryginalnem własnem pojęciem i wykonaniem, prawdą i niezrównaną dystynkcyą; artysta dowiódł, że umie odczuwać i myśléć, że nie brak mu zapału, fantazyi, siły i uczucia. A zważyć należy, że od smętnéj duszy Hamleta do dzikiéj wrażliwéj natury Otella całą przestrzeń przebywać potrzeba, a znów między tą ostatnią postacią a płomiennym poetycznym kochankiem Julii Capulet, całe niebo zalega.

Postać artysty sympatyczna, rysy twarzy nader miłe i pociągające ku sobie, a nadewszystko elegancya w ruchach, jaką każdy krok jego cechuje, dodają jeszcze więcéj wdzięku grze Ładnowskiego i stanowią najśliczniejszą i wielką ozdobę odtwarzanych przez niego postaci. Wszystkie poruszenia artysty, wszystkie pozy jakie przybiera, sympatyczne, wypieszczone, wystudyowane a przecież aż do złudzenia naturalne, zachwycają oczy widza, czarują zmysły...

Patrząc na Ładnowskiego widzimy przed sobą *artystę*, w całem, najobszerniejszem tego słowa znaczeniu.

Wkrótce wystąpi on jeszcze w „*Królu Learze*“ a następnie w „*Makbecie*.“ Będzie to prawdziwa uczta duchowa dla widzów, a dla artysty „próba ognia,“ przez jaką doświadcza się prawdziwości złota...

Zdolna artystka nasza p. Deryng doskonale odpowiada Ładnowskiemu, a role takie, jak Ofelii, Desdemony i Julii, pozostaną na zawsze chlubą jéj repertoaru scenicznego.

Jeszcze jedno... Słyszeliśmy, że Ładnowski wybornym jest także w komedyi salonowéj... Czyby nie dał uprosić się w tym względzie?...

. . . .

Jak dalece geniusz opanować zdoła umysły, najlepiej poznać to możemy obecnie. Szekspir zawładnął sceną i publicznością, nikt też o niczem więcéj nie mówi i nie pisze. A przecież równocześnie mamy tu także drugiego gościa lwowskiego, pierwszego tenora tamtejszéj opery. Występy jego przechodzą niepostrzeżenie, godne zaiste trochę więcéj zainteresowania się sympatycznym śpiewakiem, który dotychczas kilkakrotnie ukazawszy się na scenie w dziełach takich, jak: *Trubadur*, *Bal Maskowy*, *Marta*, *Straszny dwór* i inne, dowiódł niepospolitéj skali głosu, a zarazem i gry umiejętnéj. Tymczasem żadne echo nie odbija jego śpiewu w murach naszych, zachwyconych szczęśliwym jego rywalem. O! kapryśna Warszawo! wszak to także jeden z gości twoich, który nadto, kiedy słowiki, co w majowy pogodny wieczór nuciły tobie piosnki miłosne, dawno już umilkły, podjął ich lutnię i kołysze cię do snu... w Saskim Ogrodzie, niewdzięczna Syreno!...

. . . .

Aby cię wyrwać z téj częściowéj apatyi, notuję właśnie fakt... gościnności.

Z serdeczną radością słuchaliśmy głosów, które się aż tutaj odbiły, o przyjęciu jakiego doznało kilku polskich artystów malarzy, na międzynarodowéj wystawie sztuki w Monachium, otwartéj w dniu 19 z. m. O Siemiradzkim wiele już mówiono i pisano, a obrazy, jakimi zaprezentował się tam znakomity artysta, znane są i u nas; biegliśmy bowiem ochoczo wszyscy, by zobaczyć „Wazon czy kobietę?“ i „Żebrzącego rozbitka.“ Nie o nim więc mówić zamierzamy. Inny nasz rodak, Józef Brandt z Warszawy, wystawił obszerne płótno, (już zakupione przez berlińską narodową galeryę), przedstawiające: „Bitwę pod Martynowem hetmana Koniecpolskiego z Tatarami,“ i zachwycił wszystkich, a niemieckie dzienniki przepełnione są pochwałami

dla naszego ziomka. Niemieckich wykonawców bitew, z mistrzem Adamem na czele, szczycących się dotychczas wyłącznym przywilejem w tym dziale sztuki malarskiéj, pozostawił Brandt daleko po za sobą, a krytyka powitała w nim pierwszego dzisiaj batalistę. A więc i my chylimy czoło przed rodakiem, co taką chlubą stał się dla kraju.

Drugi z ziomków p. Piątkowski, mało znany dotychczas artysta, wystawił także portret kobiecy. Portret, i dzieło nieporównanéj wartości? To pozuje na żart, a jednak tak jest w istocie, portret ten szeroki rozgłos pozyskał jego wykonawcy. Tłumy publiczności stoją zdumione przed tymi dwoma obrazami, przed bitwą i kobietą. Szczególniéj od téj drugiéj nie mogą się oderwać oczy widzów. Portret ów ma być wizerunkiem najpiękniejszego z aniołów .. przepraszam, kobiet, jakie świat dzisiaj posiadane: Nazwisko téj pani która stała się sławną przez pępzel naszego ziomka: Madame Talien...

. . . .

Z dalszego świata dwie ciekawe nowości.

Jakiś francuz p. Malapaire odkrył sposób zmiany klimatu w naszéj staréj Europie i w broszurze wydanéj w tym celu zrobił nadzieję całemu światu, że jest możność zaprowadzenia *wiecznéj wiosny* regulowania pogody według upodobania lub potrzeby. Za przyczynę coraz to częstszych i dłuższych słot w biednéj Europie, podaje: rozbiegnięcie się dwóch prądów morskich, mianowicie na Atlantyku, zlanych przedtem,w jeden wielki prąd opływający zachodnie brzegi Europy i Afryki. W tym celu więc proponuje, rozsadzenie niektórych wysp, bicie tamy na morzu 7 kilometrów długiéj i inne tym podobne środki zaradcze; obiecując, że zyskamy naówczas podniesienie temperatury o 17 stopni, ot, i będziemy mieli wieczną wiosnę, pogodę lub deszcz na zawołanie! Toż to będzie uciecha, wołali wszyscy, toż to raj teraz! Nie będzie już słoty, ulewy, gradów, zawiei i powodzi!... Nie jeden już rachował korzyści pięknych zbiorów letnich; nie jedno serduszko *à conto* przyszłéj zmiany klimatu, układało miłą przechadzkę, w letnim kostiumie, w lekkich przezroczystych sandałkach, wśród parku, przy łagodnym powiewie majowego wietrzyka, w połowie... np. grudnia!...

Próżna uciecha, daremne nadzieje! Francuz, czy umyślnie, czy z własnego zaślepienia, zadrwił sobie ze świata... Nareszcie bowiem podniosły się zewsząd rozsądne głosy uczonych i przekonują dowodnie o płytkości wniosków i twierdzeń autora projektu owéj zmiany klimatu europejskiego. Dziwić się jednak należy łatwowierności ludzkiéj. Wszystkie pisma (nie mówimy tu o naszych) lotem powtarzały sobie wieść radosną, a powtarzały prawie *zupełnie na seryo*. Wiedeń i Londyn, Rzym i Berlin, Kopenhaga i Madryt były zachwycone tak dowcipnym paryżaninem!... Zadrukowano wiele papieru i będziemy miéć napowrót... co Bóg da, słotę lub pogodę...

. . . .

Drugą nowością, tym razem prawdziwszą, jest rzeczywiście piękny wynalazek pewnego amerykanina, mogący fotografię na zupełnie nowe wprowadzić tory. Wynalazł on rozczyn olejny, jakąś mieszaninę przezroczystą, którą w tym celu pociąga szybę zwierciadła. Osoba zaś, chcąca swoją postać w naturalnéj (a nawet podobno i dowolnéj) wielkości uwiecznić, zatrzymuje się kilka minut przed przygotowanem w ten sposób zwierciadłem. Następnie ową szybę wkłada wynalazca na godzinę do wody, a przez drugą godzinę wystawia na działanie promieni słonecznych i... *finita la comedia*. W trzy godziny późniéj można miéć w swoim pokoju zwierciadło z wiecznym nieruchomym wizerunkiem własnéj lub ukochanéj osoby!...

Duch wynalazczy XIX wieku nie spoczywa na zebranych już dotychczas zasłużonych laurach...

. . . .

A propos wynalazków.

Co też już panie nam nie odbiorą?... Ustępujemy im przez grzeczność wszystkiego po kolei, a obecnie w Paryżu fabrykanci nie mogą nastarczyć wyrabiania eleganckich lasek na których piękne Paryżanki spacerując po ulicach, podpierają się z gracyą!!

Litości, o! powiewne istoty z mgły, światła i kolorów tęczy! Zaczęłyście zabór od kapeluszy, skończycie na naszych rozumach!... I my na to patrzymy spokojnie i... uśmiechamy się do was...

O! dobroci!..

. . . .

Uśmiechy dzisiejszéj gawędki, smutnem zmuszony jestem zakończyć wspomnieniem.

W dniu 1 b. m. Kazimierz Władysław Wójcicki rozstał się z tym światem, pół wieku z okładem w szermierce na polu uczciwéj pracy spędziwszy. Był to jeden z téj małéj już dziś garstki żyjących, co zapamiętali chwilę, gdy Brodziński podniósł sztandar nowego kierunku w literaturze, a który z słabych rąk jego pochwycił nieśmiertelny Adam i rozwinął szeroko. Przed oczyma i przy boku ś. p. Wójcickiego przesuwały się całe szeregi dzielnych pisarzy, z których nie jeden zdołał się wydostać na stromy szczyt Parnasu, zmarły zaś pozostawał pośrodku, niby węzeł wiążący dwa odrębne końce wieków. Jedną ręką uczepiony przeszłości, wynajdywał jéj skarby i pamiątki, podczas gdy druga torowała niejednokrotnie drogę młodszemu pokoleniu.

Szczery, powszechny żal otoczył świeżą mogiłę.

Cześć jego pamięci...

Kronika Paryzka.

Bracia Zemganno powieść p. E. Goncourt.

Rzeczywistość jako obraz świata posiada koniecznie dwie strony odwrotne: jednę ujemną czyli szpetną, drugą dodatnią czyli piękną. Prawdziwe ujęcie sztuką tych dwóch stron, jest zarówno użyteczne: strona piękna podnosi godność człowieka, dając wzory do naśladowania; strona szpetna obrzydza zło i porusza najwięcéj zleniwiałe umysły.

Zola wziął za cel malowanie złéj strony społeczeństwa francuzkiego, szukając typów do swoich powieści w ostatecznych kałużach upadku moralnego. Inny znowu pisarz, którego pracą zajmiemy się obszerniéj nieco, zwrócił uwagę badawczą ku stronie pięknéj, schodząc do warstw najniższych i biorąc za cel przedstawienie rzeczywistości w postaci jak najprawdziwszéj. Nie jego wina jeżeli dostrzegł tam najpiękniejsze obrazy, gdzie wielu ludzi nie przypuszcza nic innego, nad upadek moralny i zgniliznę duchową.

Mówimy tu o panu Edmundzie de Goncourt, który również należy do naturalistów, w znaczeniu powyż podanem, dopatruje jednak stron innych, aniżeli Zola. Oto co mówi w tym przedmiocie w owéj przedmowie.

„Naturalizm w literaturze, nie koniecznie ma za zadanie opisywać strony szpetne i odrażające; cierpliwy i wytrwały badacz obyczajów ludzkich, często bardzo pod łachmanami lub w kałach rzeczywistych paryów towarzyskich, dostrzeże wzniosłe i szlachetne typy charakterów.“

Miano paryów towarzyskich użytem było przez autora z rozmysłem. Poszukiwania swe skierował do licznego grona ludzi, choć zwracających ogólną uwagę, najmniéj jednak znanych w ich życiu domowem, w ich stosunkach wzajemnych, w ich nadziejach i zawodach, w ich cierpieniach i chwilach szczęśliwych.

Rzecz dotycze życia kuglarzy jarmarcznych, których liczne choć drobne gromady, przebiegają Francyę wszerz i wzdłuż, robiąc wystawy na placach publicznych, gdzie pod namiotami szczelnie pokrytemi płótnem, dawane są najrozmaitszego rodzaju widowiska, za wniesieniem przez każdego widza opłaty kilko groszowéj.

Zaiste żywot ich biegnie odmiennym zupełnie torem, od życia innych ludzi. Z zawodu swego przenosząc się ciągle z miejsca na miejsce, nie mogą nigdzie zawiązać stosunków przyjaźni a nawet bliższéj znajomości, gdyż choć ludzie zwyczajni patrzą na nich ciekawie na scenie, w życiu jednak rzeczywistem unikają spotkania. We Francyi samo miano *saltimbanque* kuglarz uważanem jest za obelgę. Najbiedniejszy robotnik, nie wyda córki swojéj za szarlatana, łamiącego członki ciała dla zabawy zebranéj gawiedzi. Związek z podobnym włóczęgą, okryłby hańbą całą rodzinę.

Niesłuszna to zupełnie pogarda, przypominająca dawne przesądy, wedle których artyści różnego rodzaju, wyłączeni byli z towarzystw wyższych a nawet średnich, stanowiąc grono odrębne w sobie zamknięte.

Kuglarz jarmarczny, jeżeli tylko prowadzi się moralnie, a podobne przykłady napotykamy często w dziele pana de Goncourt, posiada z pewnością wyższy rozwój duchowy od wielu ludzi patrzących na niego z lekceważeniem, a należących do niższych warstw społeczeństwa.

Wedle dzisiejszego systemu utylitarnego, nieszczęśliwy saltimbanque jest szerszeniem pochłaniającym pracę inszych; kiedy najbardziéj ograniczony robotnik roczny; daje owoce korzystne dla społeczeństwa.

Pan de Goncourt nie zgadza się na podobną teoryę. Uczciwa rozrywka po pracy nie jest zmarnowaniem czasu, ludzie nastręczający takową godni są poszanowania.

Zresztą oceniany przez nas autor, nie odmawia skoczkom jarmarcznym pewnego wpływu na rozwój moralny niższych warstw. Sama już okazywana przez nich zręczność ciała, jest żywym przykładem jakie są następstwa pracy i wytrwałości.

Wszystkie te jednak względy w utworze sztuki mają podrzędne znaczenie; powieściopisarz ma przedewszystkiem na celu dać obrazy zaczerpnięte z życia. W obecnym wypadku obrazy te są tem ciekawsze, jako dotyczące kół towarzyskich prawie nieznanych, tajemniczością swą przeto wzbudzające tem większą ciekawość.

Warunków jednak życia ludzi podobnych, pisarz z najpotężniejszą nawet fantazyą nie potrafi skreślić, samą potęgą swej twórczości. Zrozumiał bardzo dobrze tę prawdę pan de Goncourt i z wielkiem zadziwieniem skoczków jarmarcznych wszedł z niemi w bliższą zażyłość. Poufałe stosunki, wzajemne poznanie się, wywołały ufność zobopólną; co wszystko ostatecznie, zapewniło autorowi bogaty plon różnych spostrzeżeń i rysów charakterystycznych, im mniéj spodziewanych, tem żywsze czyniących wrażenie.

Owocem jego usiłowań i badań jest powieść napisana pod tytułem „Bracia Zemganno,“ czyli historya dwóch skoczków na linie, połączonych rzadki

węzłem zabopólnéj miłości. Obok dwóch bohaterów opowiadania, dostrzegamy wiele innych osób podrzędnych, narysowanych z wielką prawdą a przytem w sposób żywy i zajmujący.

Towarzystwo akrobatyczne do którego grona należą bracia Zemganno, odbywa ciągłą podróż po Francyi, narażone na wiele przygód, doznając rzadkich chwil pomyślności, a po większéj części zniewolone staczać uporczywą walkę, ze smutnemi następstwami niedostatku. W takich warunkach, potrzeba było dyrektora nadzwyczajnie przebiegłego i umiejącego sobie radzić, aby przełamać trudności stanowiące, dla zwyczajnego człowieka, nieprzełamane zawady.

Człowiekiem właśnie tego rodzaju jest Siznor Tommaso Bescupé, posiadający wiele różnorodnych wiadomości. Obok śpiewu, gry na skrzypcach, sztuk łamanych, zna on jeszcze w wysokim stopniu sztukę kucharską, umie krajać nowe kostiumy, załatać buty, a co najważniejsza, wyjść zwycięzko z pośród najtrudniejszych okoliczności. Z takiéj to właśnie przyczyny, signor Bescapé wzbudził w podwładnych towarzyszach zaufanie nieograniazone, nakłaniające ich do bezwarunkowego posłuszeństwa.

W jednem z małych miasteczek, gdzie zniewoleni byli zatrzymać się nieco dłużéj, nastąpiły czasy nadzwyczajnie przykre i trudne do przebycia. Kieszeń była zupełnie opróżniona, kredyt wyczerpany, a spodziewano się dopiero zarobku w dniu następnym. Tymczasem żołądki domagały się posiłku gwałtownie, z powodu nawet osłabionych sił przedstawienie mogło być chybionem.

Towarzystwo przyprowadzone do rozpaczy, było blizkie rozejścia się w różne strony. Do stawienia czoła niebezpieczeństwu potrzeba było prawdziwego gieniuszu, coś nakształt Kolumba, umiejącego nakłonić majtków, do porzucenia zamiaru wracania do Eurowy.

Signor Bescapé znalazł słowo przemawiające do serc wszystkich: oto zapowiedział kolacyą obfitą, mogącą zadowolnić podniebienie Lukullusa. Ponieważ w chwilach uroczystych; dyrektor towarzystwa nie kłamał nigdy, zrobiona więc nadzieja posiłku, uspokoiła najbardziéj niecierpliwych, i ostateczna zwłoka udzieloną zostało.

Wypadało jednak dotrzymać obietnicy, od tego zależną była kwestya dalszego bytu. W wypadkach nadzwyczajnych, signor Bescapé używał środków nadzwyczajnych, na które z pewnością człowiek zwyczajny zdobyć by się nie potrafił. Działanie tego rodzaju nazywał wielkiem wysileniem. Ówczesnym środkiem, ocalającym położenie, były sidła zastawione na zwierzynę, w które wpadło trzy kuropatwy i zając. Prócz tego dyrektor ukopał ziemniaków pod lasem, w przechodzie widząc uśpionego pasterza wydoił krowę używszy zamiast skopka własnego kapelusza: nieznacznie narwał pysznych gruszek w ogrodzie sąsiednim, gdzie jako znak widoczny Opatrzności, napotkał dwa jeże obciążone owocami, co wszystko razem wzięte, stanowiło ze względu na okoliczności, niepospolite zapasy żywności. Nietylko jednak posiłek ale i napój zdobytym był umiejętnie, bez zbyt wielkiego obrażenia kodeksu karnego. Trudności musiały być wielkie, środki użyte gienialne, kiedy herkules Towarzystwa ściskając dłoń Dyrektora, wyrzekł z uczuciem i zupełnem przekonaniem:

— Dyrektorze, jesteś wielkim jak świat!

Autor nietylko pisze powieści, ale jednocześnie jest bardzo zdolnym malarzem, daje przeto obrazy niezrównane różnych członków towarzystwa; gdzie zarówno opisaną jest dokładnie ich powierzchowność, jak i usposobienie moralne. Życie domowe tego grona, nie jest odznaczone wielkim pokojem i zgodą; w podobnych warunkach róznego rodzaju starcia są nieuniknione, wywołane drobną zazdrością pomiędzy współzawodnikami, lub też mniéj więcéj dokuczliwemi żartami, za pośrednictwem których nowicjusze różne krzywdy doznane od swych nauczycieli.

Wśród jednak tych scen różnorodnych, budzących więcéj uczucie politowania niż gniewu lub pogardy, dostrzegamy niekiedy wzruszające rysy szlachetności, i poświęcenie. Dosyć w téj mierze wspomnieć o opiece rozciąganéj przez herkulesa nad starym psem będącym własnością całego towarzystwa. Zapomina on często o własnych potrzebach, aby tylko osłabiony przez wiek czworonóg znalazł posiłek wieczorny i ranny, a w potrzebie odpowiednie lekarstwo.

Położenie jednak Towarzystwa pogorszało się coraz bardziéj, szeregi jego przerzedziły się wielce; jedni poszli szukać szczęścia w innych kołach skoczków; drudzy przenieśli się do wieczności. Do liczby tych ostatnich należał signor Bescapé; wielki mąż wyczerpawszy się wśród ustawicznych przeciwności, jak Goliat upadł pod gruzami walącego się gmachu.

Na dyrektora uszczuplonego towarzystwa powołanym został Gianni, jeden z najzdolniejszych młodych akrobatów, a jednocześnie będący rzeczywistym bohaterem powieści.

Sława jednak zdobyta na ciasnych placach jarmarcznych nie wystarcza dla niego, chce zdobyć stanowisko w pierwszorzędnych stolicach europejskich; zresztą nikt nie jest w stanie zastąpić starego Bescupé, umiejącego z niczego urządzać wspaniałe wieczerze. Nie mając środka do utrzymania dalszego towarzystwa, Gianni postanawia go rozwiązać. W chwili dopiero rozstania okazuje się, że ciągłe swary były tylko pokrywką przyjaźni i życzliwości zabopólnéj. Szczególniéj młoda Tolochée z oczami tęsknemi, w życiu domowem zawsze smutna i zamyślona, choć śmiejąca się wesoło na scenie, gotową jest do największych poświęceń, aby wyjść z groźnego położenia. Radzi ona zaprowadzić jak największą rozmaitość w widowiskach, uważając środek ten jako jedyny do ściągnięcia większego grona ciekawych. Wzywa kolegów i koleżanki aby dali dowody większéj twórczości niż dotychczas, i wymyślili coś nowego. Ze swéj strony chce dać przykład i w tej mierze mówi do dyrektora;

— Słyszałam o wielkiem powodzeniu kobiety dzikiéj zjadającéj kury surowe, w oczach zgromadzonéj publiczności. Zebrałam w téj mierze potrzebne objaśnienia, nie jest to rzecz tak trudna jak się zdaje na pozór. Z największą chęcią odegram rolę kobiety ze stepów amerykańskich. Odpowiedni lakier do umalowania skóry na czerwono przygotowałam, a zjem nietylko kurę surową, ale nadto pół tuzina cygar. Sława nasza z tego względu będzie rozgłośną, zgromadzona publiczność przyprowadzoną będzie do zachwytu.

Gianni jednak nie przyjmuje zrobionéj ofiary dla dobra towarzystwa; chce on koniecznie zająć wyższe stanowisko w obranym przez siebie zawodzie, z bratem więc swym młodszym, Nello, jedzie do Londynu. Wybór miasta nie jest wypadkowym, stolica Anglii posiada przywilej wykształcania zdolnych akrobatów, skoczek tylko uznany za zdolnego przez ludność Londynu, znajdzie przystęp do cyrków paryzkich.

Zaiste podziwiać trzeba autora, za okazaną cierpliwość, w zebraniu najróżnorodniejszych wiadomości, dotyczących tańczenia na linie.

Posłuchajmy co mówi o Anglii:

„Jak w wielu innych względach, powiada de Goncourt, tak i w sztuce akrobatycznéj, Anglia okazała twórczość niepospolitą. Do ruchów ciała tancerza na linie, do objawów siły fizycznéj, umiała wprowadzić w wielu wypadkach dowcip, a w każdym razie działanie myśli ludzkiéj.

Wedle pomysłu angielskiego, gimnastyka połączoną została z pantominą; ruch muskułów i nerwów wedle nowéj metody wyraża zart, smutek, niekiedy dramat: zwinność i zręczność ciała na podobieństwo przedstawień teatralnych, nakłania do śmiechu, wzbudza przerażenie, lub usposabia do głębokich rozmyślań.

W Anglii to właśnie, nieznajomi twórcy w wieku ośmnastym, dali początek nowego rodzaju komedyi satyrycznéj. Jest to w pewnym względzie przekształcona dawna farsa włoska, gdzie pajac w postaci głupca, jest tym aktorem-gimnastykiem, przypominającym jednocześnie teatr i przedstawienie maryonetek.

W szkole angielskiéj, Gianni ujął w należne formy wrodzone mu zdolności, a i brat jego Nello, wyrósłszy na dzielnego pajaca, zrobił niepospolite postępy. Dwaj bracia, wedle wyrażenia wielkiego naszego poety, rzuceni wśród morza piasków jak dwie rosy kropelki, połączeni zostali najserdeczniejszym węzłem zobopólnéj miłosci braterskiéj; jeden żył dla drugiego nie znając najmniejszéj zawiści lub zazdrości, cieszyli się wzajemnie ze zrobionych postępów, i pozyskiwanej sławy. *(d. n.)*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 7 Августа 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 34, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Taką to przysługę oddał Terry pięknéj aktorce, on sam nie przypisywał do niéj żadnéj wagi, ale ona przeciwnie wysoko ją ceniła, i czuła dla niego głęboką wdzięczność, a na dowód tego czyniła co mogła, aby ujarzmić swego wybawcę i opanować jego serce. Na ten raz jednak nie powiodło jéj się zupełnie, Dennison był nietykalnym; jéj piękność, urocze uśmiechy, przymilania się, nie wzruszyły go wcale. Odgadł jéj zamiary i śmiał się w duchu z jéj daremnych usiłowań.

„Po co, u licha! ta wietrznica tak do mnie strzela oczyma? myślał Terry. Wie o tém równie dobrze jak ja sam, że nie jestem starszym synem magnackiéj rodziny, że nie mam otwartego kredytu u żadnego bankiera, i że nigdy w życiu nie ofiarowałem nikomu bransolety z brylantami. W jakimże więc czyni to celu?

Felicya chciała poprostu okazać wdzięczność swemu wybawcy. Gdyby nie on, byłaby mogła utracić życie, piękność, lub zostać kaleką, co nie dozwalałoby jéj nadal występować na scenie. Już ta myśl sama przejmowała ją dreszczem; śmierć wydawała jéj się znośniejszą. Czuła więc szczerą, głęboką wdzięczność dla Terrego, i otworzyła mu raz na zawsze wstęp do swego domu.

Był to przywilej o który w owéj epoce ubiegali się nawet książęta, ale Dennison nie czuły jak zawsze na podobne łaski, lekceważył tak to pozwolenie jak i osobę która mu je udzieliła. Cenił ją jako tancerkę, ale jako kobiecie, w życiu domowém, żadnéj nie przypisywał wartości, a o względy podobnych istot nie ubiegał się nigdy. Z pewnością nie powiększy nigdy liczby jéj ofiar i nie straci dla niéj głowy. Felicya zrozumiała to, roześmiała się szczerze, czuła dla niego więcéj niż dla innych szacunku, i dała za wygraną.

Jakaż to będzie dla niéj przyjemna nowość miéć przyjaciela, który nigdy nie pomyśli o tém aby zostać kochankiem, i polubiła Dennison'a tak nienaganném uczuciem jakieby uczuć mogła najuczciwsza kobieta. Bywał niekiedy na kolacyach które wydawała po każdém swojém wystąpieniu, i spotykał tam najpierwszych artystów, literatów, najpiękniejsze aktorki w Londynie, i zawsze najserdeczniéjsze przyjęcie.

Obecnie dowiedział się że jest w Paryżu; nie widział jéj od siedmiu tygodni ale nie miał zamiaru być u niéj, a teraz jednak chciałby dostać się tam w jednéj chwili. Że przyjmie go dobrze o tém nie mógł wątpić, myślał tylko o tém co powie Eryk gdy go tam zobaczy.

„Niech ją licho porwie! rzekł do siebie. Niech licho porwie tych wszystkich piratów w spódnicach trudniących się korsarstwem na spokojnych falach rodzinnego życia, i siejących zniszczenie wszędzie na swéj drodze. Jednak, dodał z westchnieniem, idąc do jednego z nich trzeba być grzecznym i nie okazać tego co się o nich myśli.

Wielki świecznik zawieszony u sufitu ozdobionego freskami, rozsiewał rzęsiste światło w salonie Felicyi. Wszystkie ściany były pokryte zwierciadłami, okna zdobiły bogate firanki z atłasu i koronek, woń najpiękniejszych kwiatów zapełniała powietrze.

Kilka kobiet znanych z piękności, ubranych kosztownie według najświeższéj mody zajmowało miękkie kozetki, a każda z nich miała obok siebie dwór złożony ze swych wielbicieli.

Sama Felicya siedziała na okazałym i wygodnym fotelu; a jéj przejrzysta biała suknia tworzyła koło niéj coś podobnego do obłoku. W ogóle wolała się ubierać w ciężkie materye i aksamit, ale tego wieczora leciuchna biała suknia otaczała klasyczne kształty jéj kibici, kosztowna koronka przysłaniała jéj ręce i ramiona, na których mieniły się różnobarwnym ogniem opale i dyamenty. Blado-żółte róże odbijały pięknie od jéj kruczych włosów.

Przy niéj stał lord Dynely, i z takiém natężeniem wpatrywał się w tę twarz omdlewającą a zarazem pełną ognia, jak gdyby nie mógł nasycić się jéj widokiem.

Wszyscy spojrzeli ciekawie na drzwi gdy służący oznajmił nowoprzybyłego. Nikt go tu nie znał z wyjątkiem dwóch osób, które znów nie spodziewały się go zobaczyć; pomimo to Terry wszedł z tą swobodą i spokojem jaki nadaje zupełny brak zarozumienia i miłości własnéj.

Dopiero dziś wieczorem przybyłem do Paryża, rzekł witając Felicyę, i pomimo spóźnionéj pory nie mogłem oprzéć się chęci odwiedzenia pani. Wszak to już siedem miesięcy nie miałem przyjemności widziéć pani, nie omieszkałem też korzystać z łaskawie udzielonego mi przez panią powolenia, odwiedzenia jéj w każdéj porze dnia:

Była to długa i dość zręcznie ułożona mowa, ale mówca przygotował się do niéj jadąc fiakrem; prz e cie kto ma miéć do czynienia z wężami musi postępować ostrożnie i przebiegle. W ognistych oczach Felicyi zabłysnął wyraz prawdziwego zadowolnienia; podała mu rękę. Zawsze z prawdziwą przyjemnością, witała Terrego.

„Pan wie o tém dobrze, panie Dennison, że jesteś dla mnie w każdym czasie prawdziwie pożądanym gościem. O takiéj przysłudze jaką mi pan oddałeś nie zapomina się nigdy. Pozwolisz pan że cię przedstawię lordowi Dynely, ale może panowie już się znają?

Rzuciła na Jego Wysokość pytające spojrzenie, i dostrzegła na jego twarzy wyraz żywego niezadowolnienia.

„Co cię u licha! sprowadziło do Paryża! Dennison'ie? zapytał opryskliwie. Kiedy przyjechałeś?

— Dziś wieczorem, jak to już przed chwilą powiedziałem. Wszak prawda że moja obecność ucieszyła go niewymownie? dodał wesoło zwracając się do Felicyi.

— Gdzie mieszkasz? zapytał Eryk zawsze opryskliwie.

— Uszczęśliwiłem moją obecnością *Wielki Hotel*, milordzie.

Nastąpiła chwila milczenia. Spojrzeli sobie w oczy: spojrzenie Eryka było pytające, podejrzliwe, gniewne; Terrego pewne i śmiałe.

Eryk pierwszy spuścił oczy z pogardliwym uśmiechem i wzruszając ramionami.

— Czy byłeś pan w teatrze *Nouveautés* panie Dennison? zapytała Felicya z zalotnym uśmiechem.

Jakkolwiek nie jest Francuzką, daje pierwszeństwo językowi francuzkiemu, obyczajom francuzkim, kuchni francuzkiéj i modom paryzkim.

— Nie mógłbym odmówić sobie téj przyjemności, wiedząc że pani występuje, odpowiedział Terry. Jesteś pani zawsze nieporównaną, ale w *Czarownicy* przewyższasz siebie samą. Czy w przyszłym sezonie zobaczymy panią w Londynie?

Felicya uśmiechnęła się i spojrzała na posępną twarz lorda Dynely.

— A! kto wie? Przyszły sezon w Londynie zaczyna się za parę miesięcy, wszak prawda? Ale któż wie co się stać może przez te dwa miesiące. Może będę o tysiąc mil od waszego mglistego nieba, wschodnich wiatrów, oraz sztywnéj i flegmatycznéj publiczności. Cóż cię wprowadziło w tak kwaśny humor, mój przyjacielu? odezwała się do lorda Dynely, uderzając go lekko wachlarzem. Możnaby powiedzieć, jak to mówią w twojéj ojczyźnie: daję jednego penny za twoje myśli.

— Warte daleko więcéj, myślałem o pani, odpowiedział z goryczą.

— Lord Dynely czyni mi zbyt wiele zaszczytu. Sądząc z tonu jego głosu, myśli muszą być pochlebne. Czy nie mogłabym dowiedzieć się ich treści?

— Zadawałem sobie pytanie czy za nadejściem przyszłego sezonu, piękna Felicya nie przestanie istnieć dla sceny, czy nie zostanie już księżną Venturini.

Roześmiała się znowu. Zazdrość i rozdrażnienie przebijające w jego głosie, bardzo ją bawiły.

— Ha! kto wie? Dzieją się nie raz na świecie tak dziwne i zabawne rzeczy! Jednak prawdę mówiąc, nie wiem czyby to było bardzo zabawne. Proszą nas do stołu; panie Dennison, podaj mi rękę. Lord Dynely najmilszy i najuprzejmiejszy z ludzi w zwykłém swém usposobieniu, ulega wszakże niekiedy napadom dziwactwa, a nie mogę znieść ludzi kapryśnych.

Roześmiała się znowu śmiechem harmonijnym, przy którym ukazały się śliczne jéj ząbki. Najzapaleńsi wielbiciele téj zachwycającéj Felicyi, przyznają że często znać w niéj gminne wychowanie, że jak huzar pali cygara i pije szampana, że nawet niekiedy klnie i przeklina, ale tego nikt jéj zaprzeczyć nie może że się śmiać umie, że śmiech jéj jest cichy, dźwięczny i miły.

W jakim kraju się urodziła? na to nikt odpowiedziéć nie umie, to tylko pewno że nie jest Angielką, Francuzką, Włoszką, Hiszpanką ani też Niemką. Niektórzy utrzymują że jest Amerykanką, ale Felicya energicznie temu zaprzecza. Nigdy w życiu nie przepływała Atlantyku, i nigdy go nie przepłynie! Nienawidzi Ameryki i nigdy tam występować nie będzie! gdy to mówi, czarne jéj oczy rzucają błyskawice.

Rozsunięto aksamitne portiery, i wszyscy przeszli do sali jadalnéj, równie rzęsisto oświetlonéj jak salon, a stół cały lśnił się od srebra i kryształów. Najrzadsze kwiaty napełniały wielkie srebrne kosze, a przepyszne kamelie, pochodzące z ogrodu jakiegoś księcia, stały w kosztownych wazonach; najdroższe i najpiękniejsze owoce, winogrona, brzoskwinie i gruszki nęciły do siebie oczy.

Wszyscy zasiedli do stołu i na czas jakiś przerwano rozmowę. Kucharz Felicyi był mistrzem w swojéj sztuce, i najlepszym sposobem ocenienia dzieł jego było milczenie. Co się tyczy wina, dosyć powiedzieć że najsławniejsze piwnice Paryża składały tam kontrybucye. Nawet na królewskich stołach nie możnaby znaleźć nic wykwintniejszego ani też smaczniejszego. Powoli jednak rozmowa zaczęła się ożywiać, a w końcu stała się powszechną, słychać było ze wszystkich stron wesołe śmiechy, żarty, dowcipne słówka, trafne i złośliwe odpowiedzi. Prawdopodobnie w całem towarzystwie najskąpiéj pod tym względem uposażoną była sama pani domu; jak tancerka jest nieporównana, jako piękność nie ma równéj sobie, ale co do wymowy i dowcipu nie trudno ją prześcignąć.

Zajada wykwintne potrawy, pije Bordeaux i szampana, śmieje się z dowcipnych słówek, i patrzy na siedzącego naprzeciwko niéj lorda Dynely, a po jéj ustach i w głębi omdlewających oczu przesuwa się szyderczy uśmiech. I on, równie jak Felicya, nie miesza się prawie do wesołéj i ożywionéj rozmowy; siedzi zasępiony, zmarszczył brwi, więcéj pije niż je, w pośród przepysznego oświetlenia, ogólnéj wesołości, kwiatów i śmiechów, piękny Eryk wygląda jak statua Komandora.

Pomieszało mu szyki to nagłe pojawienie się Terrego, w którego oczach widział jakby gniew i groźbę. Po co tu przyszedł? co mogło spowodować przyjazd jego do Paryża? Nagle wśród zdrożnego otaczającego go przepychu, stanęła mu na oczach blada, znękana postać kochającéj go żony, którą od kilku już godzin opuścił. Bukiecik róż który dostał od niéj na wychodnem, odbijał wyraźnie od czarnych włosów Felicyi, która jedząc brzoskwinię zdawała się całkiem zatopiona w rozmowie z Dennison'em. Na ręce jéj błyszczała kosztowna brylantowa bransoleta, wczoraj dopiero dostała ją od niego, a dziś już nie słyszy i nie widzi nic prócz tego nieznośnego, olbrzymiego dragona.

Gdy wstawano od stołu, Felicya zwróciła się do lorda Dynely, mówiąc ze złośliwym uśmiechem.

„Mój przyjacielu, taką posępną masz minę iż przypominasz mi owe trupie głowy, które podobno Egipcyanie stawiali przy biesiadnych stołach, aby mówiły biesiadnikom *Memento mori.* Otóż blondyni nie nadają się do roli trupiéj głowy, a jak na młodego męża, którego miodowy miesiąc nie upłynął jeszcze nie bardzo ponętnie przedstawiasz rozkosze poślubne.

— Ach! daj mu pokój, Felicyo, zawołała Cecylja Robart, młoda ładna śpiewaczka, śmiejąc się głośno jego lordowska mość myśli z przestrachem o surowem wypomnieniu jakie usłyszy od milady za powrotem do domu.

— No, jeźli późny powrót do domu powoduje burzę i gromy, to milord musiał się już doskonale z niemi oswoić, bo jak mi wiadomo, milord już od dwóch tygodni powraca zawsze po trzeciéj po północy, rzekła Adela Desbarets.

— A! można się spodziewać że i milady dobrze się bawi w nieobecności męża, w naszym Paryżu o to nie trudno dorzuciła znów panna Robart, rzucając się na fotel z czasów Ludwika XIV i zwijając cygaretkę swemi białemi, szpiczasto zakończonemi palcami.

Eryk rzucał piorunujące spojrzenia na obie panie zwracające się do niego z tak niestosownemi żartami, a twarz Dennison'a przybrała nagle tak ponury i groźny wyraz, że spostrzegłszy to, Felicya, miała dość taktu aby na inny przedmiot zwrócić rozmowę.

„Zaśpiewaj nam co, Adelo, rzekła rozpierając się rozkosznie w swéj faworytalnéj dormezie. Wszak pan nie słyszałeś jeszcze śpiewu panny Desbarets? dodała zwracając się do Dennison'a.

— Nie miałem téj przyjemności, odrzekł grzecznie.

Wesoła śpiewaczka nie dała się prosić i usiadła do fortepianu; podczas jéj śpiewu wielu z obecnych przeszli do innych salonów grać w karty lub palić cygara, gdyż Felicya zostawiała gościom swoim najzupełniejszą swobodę. Lord Dynely zbliżył się do śpiewaczki i stał wsparty o fortepian. Twarz jego pokrywały mocne rumieńce, wywołane już to trunkiem już zazdrością i gniewem jaki budziło w nim przybycie Dennisona, a po części i jakiś nieokreślony niepokój do którego łączyły się wyrzuty sumienia. Co do Terrego, Felicya zebrała nieco swe gazy i koronki, i zrobiwszy miejsce obok siebie, skinęła aby usiadł przy niéj; zaproszeniu towarzyszył czarujący uśmiech.

Zupełnie naprzeciw dormezy wisiał obraz na który padało w całéj pełni światło żyrandola; był to ów słynny *Zmrok* który tak szalone obudził zajęcie w salonie Akademii.

„Od pierwszego spojrzenia na ten obraz, mówił Terry zasłaniając oczy ręką i przypatrując się obrazowi, zauważyłem że przedstawiona na nim kobieta nadzwyczajnie jest podobna do pani. Wprawdzie nie widziałem i zapewnie nigdy nie zobaczę na twarzy pani podobnego wyrazu, ale mimo to podobieństwo jest uderzające. Czy nie zauważyła pani tego.

— Owszem, odrzekła z lekkim uśmiechem.

— To szczególne, bo Locksley... chciałem powiedzieć Caryll nigdy pani nie widział. Sam mi to mówił. Widać miał jakiś nieprzeparty wstręt do teatru, i dla tego nie bywał na przedstawieniach w których pani występowała.

Znikł uśmiech igrający na jéj ustach, a czarne oczy z wyrazem rozmarzenia zwróciły się na obraz.

— Czy pewny pan tego jesteś że nie widział mnie na scenie? zapytała?

— Jak najpewniejszy; wiem to bowiem od niego.

— A! łatwo sobie wytłómaczyć ten jego wstręt do teatru i aktorek; wywołało go nader smutne doświadczenie. Dzieje jego życia to istny romans... Czy ona żyje jeszcze?

— Nie, odrzekł poważnie Terry; umarła już od lat kilku. Straciła życie w Kanadzie, skutkiem wypadku na kolei żelaznéj.

I znowu uśmiech zaigrał na ustach Felicyi; zaczęła się bawić swoim wachlarzem z marabutów, wysadzonym perłami.

— Pan Locksley, raczéj pan Caryll, obiecał zrobić mi *pendant* do tego obrazu, ale zdaje mi się że trzeba będzie wyrzec się nadziei urzeczywistnienia téj obietnicy. Bardzo bym pragnęła poznać go osobiście; mam jakąś słabość do ludzi wielkiemi obdarzonych talentami, choć sama nie posiadam najmniejszego, boć nie można tego uważać za talent że jestem dobrą tancerką. A zresztą, dodała z przymuszonym śmiechem, powodzenie swoje zawdzięczam mojéj ładnéj twarzyczce. Gdzież jest teraz Gordon Caryll?

Nazwisko to wymówiła jakby dobrze sobie znane i takim głosem że zwróciło to uwagę Dennison'a nie rozumiał jednak powodu.

— Jest w Rzymie, u swéj matki, odpowiedział.

— Czy ma przybyć do Paryża?

— Podobno spodziewają go się niezadługo.

— Ach! zawołała, i roześmiała się, dodając po chwili: Jak przyjedzie przyprowadź mi go pan kiedy wieczorem.

— I owszem, jeźli zechce przyjść, o czem nie wątpię gdy się dowie że pani sobie tego życzysz.

Nastała chwila milczenia. Felicya ciągle wpatruje się w obraz, jakby nie mogła oderwać od niego oczu.

„Zdawałoby się że po takiem nieszczęsnem przejściu pan Caryl nie odważy probować szczęścia w powtórnem małżeństwie, i dla tego nie chce mi się wierzyć pogłosce którą mi ktoś powtórzył, że się ma żenić w maju.

— Tak jest rzeczywiście.

— Podobno z piękną i bogatą panną Forrester, którą z jakąś damą i z panem często widywałam w Parku, podczas pobytu mego w Londynie.

Terry tylko potwierdzająco skinął głową; nie chciał aby nazwisko Fanny wychodziło z ust Felicyi.

— Ma to być małżeństwo z miłości?

— Tak pani.

Zaczęła obrywać listki z róży którą trzymała w ręku i rzucała je w powietrze.

— Ależ zachodzi wielka różnica wieku; ona ma lat dziewiętnaście, on czterdzieści. Chciałabym też bardzo wiedzieć czy panna Forrester poszłaby za pana Caryll, jeźliby pierwsza jego żona żyła i byli tylko rozwiedzeni, zapytała nagle, orzucając go płomieniejącem spojrzeniem.

— Jestem przekonany że w takim razie nie oddałaby mu swéj ręki, odrzekł Terry, ale nie ma o czem mówić, pierwsza żona Caryll'a najniezawodniéj nie żyje, jak to już powiedziałem znalazła śmierć skutkiem wypadku na kolei, i wielkie to szczęście dla wszystkich kogo to obchodzić mogło.

Na te słowa oczy Felicyi zaiskrzyły się szalonym gniewem, ale Terry nie zauważył tego. Tak gwałtownie ścisnęła trzymany w ręku wachlarz, że aż prysły delikatne jego części.

— A! cóżem zrobiła, rzekła śmiejąc się i pokazując połamane kawałki, wczoraj dopiero mi go ofiarował lord Dynely i już po nim. Bah! przeżył swój dzień, to i dość.

I rzucając najobojętniéj połamane kawałki, zwróciła się do Terrego z zapytaniem:

„Czy panna Forrester przybędzie także do Paryża?

— Tak, wszyscy mają się tu zjechać. Lady Dynely, matka lorda Eryka, pani Caryll z synem i panna Forrester, odrzekł niecierpliwie Terry; pragnął zmienić rozmowę, a nie wiedział jak tego dokonać.

Roześmiała się z zadowoleniem i zamilkła. Spojrzała na zasępioną ponuro twarz lorda Dynely, który stał ciągle oparty o fortepian, nie zwracając najmniejszéj uwagi ani na śpiew ani na śpiewaczkę. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

„Przybycie pana, rzekła, zgubny wpływ jakoś wywarło na jego kuzyna, bo wszakże jesteście spokrewnieni? Do chwili przyjścia pana, lord Dynely był w doskonałym humorze, a teraz!... Czy i romantyczny pan Caryll, także jest waszym krewnym?

— Tak, jest dalekie kuzynostwo. Takie zajęcie się nim pani, wielki czyni zaszczyt Gordonowi Caryll, rzekł nagle.

Felicya znowu się roześmiała i odrzekła wzruszając ramionami.

„A tak, zajmuje mnie pan Caryll, bo tak trudno dziś znaléźć człowieka któryby w całem życiu swojem rządził się zasadą: wszystko dla miłości i niech się co chce dzieje!... Ale może przywołamy biednego lorda Dynely, aby rozpogodzić nieco jego zasępione czoło? wydaje się strasznie znękany... Kochany lordzie, rzekła podnosząc głos i spoglądając na Eryka, przybliż się jeżli chcesz, zrobimy ci tu miejsce.

— Pożegnam panią, rzekł krótko, widziałem że tak żywo jesteś zajęta prowadzoną rozmową, iż nie wypadało mi ci przeszkadzać, czas odejść. Dobranoc!

To powiedziawszy, wziął kapelusz i wyszedł. Felicya znowu zaśmiała się głośno, wzruszając pięknemi ramionami.

— Ach! panowie Anglicy, jakże bywacie dzicy i niesforni, gwałtowni i zazdrośni, i nie staracie się nawet ukrywać tego usposobienia... Nie pojmuję czemu wasz Schakespeare'a Otella nie zrobił Anglikiem?... Cóż to, i pan odchodzisz?

— Jak na nieproszonego gościa i tak bawiłem za długo, odrzekł obojętnie i pożegnawszy się prędko wyszedł za Erykiem.

Zastał go w przedsionku zapalającego cygaro. Noc była ciemna, niebo gęstemi pokryte chmurami, drobny deszcz zaczynał padać, mimo to Eryk postanowił iść piechotą, do *Grand-Hôtel* było nie daleko.

— W jedną stronę idziemy, stary kolego, rzekł Terry biorąc go poufale pod rękę, dla tego pożegnałem się abyśmy poszli razem.

— Felicya musiała boleśnie uczuć to śpieszne oddalenie, rzekł Eryk z gorzkiem szyderstwem. Winszuję ci, Terry, tak jawnego powodzenia, nie przypuszczałem nigdy że tak zwycięzko umiesz stawać podobne walki i kampanie.

— Jeźli ma się to odnosić do podbijania baletnic, to wcale nie wdaję się w podobne podboje, a gdyby już mogła mi przyjść podobna ochota, to przynajmniéj nie wybierałbym takiéj coby niemal matką moją być mogła.

— Cóż znów gadasz! zewołał Dynely.

— Mówię naturalnie o Felicyi, która ma najmniéj trzydzieści pięć lat; tyle mi o niéj mówiono że jestem tego najpewniejszy. Nie przeczę że nie pokazuje tych lat, ale ma je niezawodnie. Nie przeszkadza to jednak że jest najniebezpieczniejszą pod słońcem kobietą.

— Dziwi mnie mocno, rzekł podrwiwając Eryk, że znając niebezpieczeństwo dobrowolnie rzucasz się w lwią paszczę, i z najswobodniejszą w świecie miną, wystawiasz się na męczeństwo, przychodząc do Felicyi.

— To też nie przyszedłem tam dla niéj ale dla ciebie, odrzekł spokojnie Terry.

Oczy Eryka zabłysły; chciał mówić ale Dennison nie dopuścił tego.

— Zastanów się pierwéj chwilę, Eryku, rzekł spokojnie i stanowczo. Jesteś rozdrażniony i zazdrośny, zazdrośny o podobną kobietę!... Pfuj!... Czy wiesz że ten twój szał dla baletnicy, dla któréj opuszczasz młodą i kochającą żonę, jest pośmiewiskiem całego Paryża i Londynu?... w Londynie właśnie dowiedziałem się o tem.

Eryk wysunął rękę, a jedyną jego odpowiedzią było straszne przekleństwo.

„A więc przybiegłeś tu za mną jak stróż, jak szpieg! krzyknął nareszcie ze złością.

— Przybywam tu jako twój i Izy przyjaciel, odparł Terry łagodnie. Zbyt wcześnie zaczynasz zaniedbywać żonę, opuszczasz ją i zostawiasz samą we łzach i boleści, aby składać hołdy i osypywać podarunkami podobną Jezabel, jak ta dla któréj się poniżasz. Nie przybywam aby cię strzedz i strofować, ale nie mogę patrzéć spokojnie na jéj rozpacz i życie złamane twojem opuszczeniem, i nie podnieść głosu w jéj obronie, nie starać się zapobiedz nieszczęściu. Ach! Eryku, Eryku, gdybyś jak ja przed chwilą widział ją bladą, zmienioną, zrozpaczoną...

Zbrakło mu głosu, wzruszenie nie dało mu mówić.

„A! przykładny, cnotliwy Terry, wzorze cnót wszystkich i najdoskonalszéj moralności, jesteś tak samo zakochany w lady Dynely, jak kiedyś w Izie Higgins. Dziwi mnie tylko po co zwracasz się do mnie, kiedy przecie milejby ci było pozostać przy niéj, pocieszać i łagodzić jéj smutek twemi czuło-pobożnemi przemówieniami.

Terry podniósł na niego oczy i z zadziwieniem, ze wstrętem prawie patrzał na twarz jego posiniałą od gniewu, na oczy pałające wściekłością.

„Wielki Boże! zawołał, jestże to Eryk?... gdyby ktokolwiek inny choć część tego mi powiedział, zginąłby z méj ręki... Ale pojmuję, opętała cię ta piekielna czarownica, o! przywodziła ona nieraz już do szaleństwa daleko silniejsze głowy, nie chcę aby i z tobą tak było... Eryku, kochany mój, dawny towarzyszu, pragnę wszelkimi możliwemi sposobami uniknąć z tobą kłótni... ty teraz sam nie wiesz co mówisz... Przyrzekłem twojéj żonie że cię przyprowadzę do niéj; ona biedna czuje się tak strasznie sama w tym ogromnym hotelu... a wiesz dobrze że nie nawykła do samotności...

Gdy to mówił, głos jego stawał się coraz łagodniejszym; zamilkł nareszcie i pomyślał sobie ze ściśnionem sercem:

„Biedna, biedna Iza! jakiż będzie koniec jéj małżeńskiego pożycia, skoro tak się rozpoczyna!

— Tak więc, rzekł Eryk zaciskając zęby, kazała ci szukać mnie i sprowadzić, jakby niesfornego dzieciaka, którego się woła dla wymierzenia kary... Zapewnie jeszcze powiedziała ci gdzie możesz mnie znaléźć?

— Nic a nic mi nie powiedziała, i dobrze wiesz o tem, Eryku; wiesz że nie dozwoliłaby nikomu potępiać postępowania swego męża, ale łatwo mi było wiedzieć gdzie cię szukać, ta szalona namiętność twoja tak jest głośna w Paryżu, iż pierwszy lepszy by mi wskazał gdzie jesteś. Eryku, przyjacielu mój, nie kłócmy się, nie zapominaj żeśmy się wychowywali jak bracia. Zerwij z tą kobietą, tak niebezpieczną, z którą stosunek może być dla ciebie nader zgubny. Złamała już życie i przyszłość dziesiątek ludzi, niech nie zniweczy twojéj... Dla takiéj nędznicy nie przywódź do rozpaczy biednéj Izy, któréj przyszłość na wieki złączona jest z twoją, jeźli nie masz litości nad sobą samym, miéj ją nad twą nieszczęśliwą żoną.

Eryk wybuchnął ostrym, przedłużonym śmiechem.

„Słuchajcie, zawołał, słuchajcie bogowie i ludzie! oto Terry Dennison występuje w roli kaznodziei. No, mój kochany, czy kazanie jest skończone, lub czy to tylko przygrywka do dalszych? Jakże to pasuje dla ciebie jakby protekcyjna rola starszego brata, dla ciebie, który wszystko zawdzięczasz łasce i hojności méj matki! Ciesz się, przyjeżdża do Paryża w przyszłym tygodniu, będziesz mógł rozpowiedzieć jéj wszystko, a jakże to wymowne kazania ułożycie we dwoje!... Słuchaj, Dennison, wiedz o tem raz na zawsze, krzyknął drżąc od gniewu, że nie zniosę żadnych cenzorów ani szpiegów, nie chcę od nikogo słuchać jakichś wypomnień i nauk, a tem mniéj od ciebie... Pamiętaj o tem, albo, do kroćset, gorzko tego pożałujesz!

To powiedziawszy wbiegł na schody, zostawiając Terrego.

Rozdział IV.

Na ulicach.

Terry stał chwilę nie wiedząc co począć. Dawno już wszystkie zegary wybiły pierwszą; tu i owdzie przesuwało się kilku zapóźnionych przechodniów i fiakrów pędzących do domu. Dennison nie myślał nawet o spoczynku; wiedząc że niepodobnaby mu było zasnąć w podobnem rozdrażnieniu, nie wchodził nawet do swego pokoju.

Od miesiąca września, od dnia owego nieszczęsnego pikniku, w którym utracił na zawsze co miał najdroższego, Eryk skazał go na ciężki smutek i bezsenne noce. Gdybyż przynajmniéj kochał żonę i starał się zapewnić jéj szczęście! Terry umiałby z bohaterskiem poddaniem znosić boleść i niedolę swoją, ale straszna rzeczywistość jaka odsłoniła mu się téj nocy, śmiertelna obawa o los Izy, bezmierną napawały go boleścią.

Sześć tygodni zaledwie minęło od dnia ślubu i już jest zapomnianą, opuszczoną, znieważoną; po owéj gwałtownéj niby miłości Eryka, popiół tylko pozostał, Felicya tancerka zajęła miejsce należne żonie.

„To niegodziwość! myślał sobie Terry, którego samo tego wspomnienie przywodziło do wściekłości, to gorzéj jak niegodziwość, to niecny szał!...

Spojrzał ku oknu przy którem przed czterema godzinami widział zapłakaną Izę; jeszcze się w niem świeciło. Może Eryk łajał ją i strofował za to że wystąpił w jéj obronie; może czynił ostre wyrzuty biednéj Izie, do któréj nigdy nikt nie przemawiał surowo. Myśl ta mózg mu paliła; nie mógł zostać w tem miejscu, to też nie zważając gdzie idzie, zaczął chodzić po pustych prawie ulicach.

Drobny ale gęsty deszcz nie ustawał, i zdawało się że będzie padać do rana. Szedł przed siebie, z cygarem w ustach, z rękami w kieszeniach paltota, nie zwracając uwagi ani na kierunek ani na odległość przebieganéj drogi. Myślał tylko o Izie; co począć, jak ją ratować?...

Daremnie próbowałby jeszcze zwrócić Eryka na dobrą drogę; wiedział dobrze iż wszelkie stawiane mu przeszkody, jak zwykle spotęgują jeszcze jego upór. Gdyby można jakim sposobem skłonić go do opuszczenia Paryża... ale jak tego dokazać? wprawdzie matka miała przyjechać, ale Terry wiedział dobrze iż żadnego niemal nie miała wpływu na syna, ilekroć szło mu o zadośćuczynienie swoim zachciewkom.

Nie troszczył się zbytecznie o Eryka ani o przykre następstwa jakie postępowanie jego sprowadzić mogło; nie dbał o to że zmarnuje kilka tysięcy fun. na klejnoty i bukiety dla téj czarnookiéj bajadery, dopokąd gorąca ta namiętność nie ostygnie sama przez się, jak to już u niego tylokrotnie miało miejsce. Chodziło mu jedynie o biedną Izę, która żyła tylko swoją miłością, i już zaczęła pochylać się jak lilia któréj łodygę złamano, a z któréj sercem i spokojem igrał tak obojętnie, jak dziecię łamiące zabawkę która go już znudziła.

„Pomówię o tem z Felicyą, pomyślał nareszcie w uniesieniu rozpaczy; niepodobna aby już w niéj nic dobrego nie pozostało, wszak utrzymują że nie ma człowieka nie mającego jakiejś dobréj strony... Nieraz słyszałem że podobne jéj istoty miewają chwile szlachetności i współczucia dla nieszczęśliwych... Kto wie, może nawet tak nienasycona jak ona zalotnica, ulituje się nad tą nieszczęśliwą ofiarą. Pójdę do niéj jutro, powiem wszystko, przedstawię straszną boleść opuszczonéj żony i będę prosić aby go przestała przyjmować. Przypominam sobie iż wówczas gdy ją ocaliłem powiedziała mi żebym zażądał od niéj co zechcę, a spełni to z rozkoszą, dotąd nigdy nic od niéj nie żądałem, przekonam się jutro czy dotrzyma swego przyrzeczenia.“

Myśl ta uspokoiła go nieco; nie miał zwyczaju zbyt natężać umysłu, to też ochłonąwszy nieco, rozejrzał się do koła. Teraz dopiero postrzegł że idąc na oślep sam nie wie gdzie zaszedł, że noc była ciemna, zimna i słotna i że najlepiéj byłoby jak najprędzéj powrócić do hotelu.

Gdy tak rozglądał się na wszystkie strony aby poznać gdzie się znajduje, doleciał go z oddali krzyk przerażenia i trwogi; krzyk taki powtórzył się parę razy; był to głos kobiety któréj groziło jakieś niebezpieczeństwo. Terry nie wahał się ani chwili, wszak całe życie poświęcał się dla innych, jak mógł najśpieszniéj pobiegł w stronę zkąd głos go dochodził. I znów dał się słyszéć krzyk głośniejszy jeszcze, kierując się według niego, zwrócił się w ciemną i wązką uliczkę ściśniętą dwoma rzędami wysokich domów, i zobaczył kobietę uciekającą przed dwoma goniącymi ją mężczyznami.

„Hola! krzyknął silnym swoim głosem, co się tu dzieje?

W tejże chwili uciekająca kobieta przybiegła zaledwie mogąc oddychać, i chwytając go za rękę zawołała:

— Ach! panie, jesteś Anglikiem, wyszeptała po angielsku, broń mnie od tych niegodziwych ludzi!

Terry otoczył prawą ręką kibić kobiety, a gdy jeden z napastników, młody chłopak z czarną brodą, zbliżył się do niego zuchwale, zadał mu lewą, według wszelkich zasad bokserskiéj sztuki, tak silne uderzenie, że upadł na ziemię. Towarzysz jego widząc że to nie przelewki, ratował się ucieczką.

„Pójdźmy za jego przykładem, rzekł Dennison do swéj ładnéj towarzyszki, bo inaczéj sludzy porządku publicznego mogą nas zaprowadzić do komisarza policyi.

Mówiąc to patrzył na nią z pewną ciekawością; spotkać Angielkę samą na ulicach Paryża o tak spóźnionéj porze, było to rzeczą niezwykłą. Zbliżyli się właśnie do latarni, któréj światło dozwoliło mu zobaczyć wyraźnie twarz kobiety. Kobiety! nie to prawie dziecko jeszcze, to jakaś drobna istotka ze śniadawą cerą, jakiś czarnooki chochlik z kruczemi włosami które pokrywały jéj ramiona, z twarzyczką którą raz widziawszy, niepodobno było zapomnieć.

Terry zaraz od pierwszego rzutu oka spostrzegł coś niezwykłego w wyrazie téj twarzy, i jakieś podobieństwo, przypominające mu bardzo kogoś ze znajomych, tylko że nie mógł sobie przypomnieć kogo.

„Kto pani jesteś? zapytał nagle Dennison.

Czarne błyszczące oczy spojrzały na niego, a małe rączki zacisnęły się silniéj na jego ręce. U kogoż to już widział podobne oczy?

„A! panie, nie pozostawiaj mnie tu saméj, proszę pana! Boję się bardzo! Już tak późno!

— Rzeczywiście, bardzo późno, zwłaszcza na to aby młoda panienka błąkała się sama po ulicach jakiegobądź miasta. Takie małe panienki nie powinnyby...

— Mam szesnaście lat i sześć miesięcy, i nie błąkam się po ulicach tylko zabłądziłam, odpowiedziała z lekkim odcieniem gniewu.

— Któż pani jesteś?

— Nazywam się Gordon Kennedy.

— I jakimże to sposobem zabłądziłaś, jeżeli wolno o to zapytać, panno Gordon Kennedy?

Zwróciła na Terrego badawcze spojrzenie, jakby chcąc wyczytać jego myśli; i widać że była zupełnie zadowoloną ze swych spostrzeżeń, bo odetchnęła swobodniéj, i znów z ufnością wsparła się na jego ramieniu. Terry zaś znów starał się przypomnieć sobie do kogo ona była podobna.

Rozdział V.

U celu podróży.

Terry był najsilniéj przekonanym że znał kogoś bardzo podobnego do swéj młodéj towarzyszki, i gniewał się sam na siebie że nie może sobie przypomnieć ktoby to był taki, chciał więc spróbować czy nie dowie się od niéj jakich szczegółów, któreby mogły dopomódz jego pamięci, i dlatego zapytał ją o rodzinne strony.

Zrazu, Gordon Kennedy, milczała, ale w końcu, jakby powzięła postanowienie zaufania człowiekowi który tak dzielnie stanął w jéj obronie, odpowiedziała mu otwarcie.

„Przybyłam tu ze Szkocyi, z Glasgowa, w celu wyszukania pewnéj osoby, mieszkającéj w Paryżu. Przyjechałam dziś, pociągiem wieczornym; mam bardzo mało pieniędzy, prawie nic, i byłam tak nierozważną że nie wsiadłam do fiakra, sądząc że trafię pieszo do mieszkania osoby o któréj panu mówiłam. Zabłądziłam, a tak mało umiem po francuzku i tak źle wymawiam, że nikt mnie nie mógł zrozumiéć. Nie wiedziałam co czynić; chodziłam to w tę to w ową stronę, aż i noc nadeszła. Sądziłam że będę mogła schronić się przed deszczem w kruchcie jakiego kościoła i pozostać tam do rana, i szukałam go właśnie, kiedy ci dwaj ludzie przystąpili do mnie i zaczęli coś mówić. Przestraszona uciekłam, a oni puścili się za mną w pogoń; zaczęłam wołać o ratunek i pan przybiegłeś wtenczas. Jestem panu za to bardzo, bardzo wdzięczna, dodała zwracając na niego pełne wdzięczności spojrzenie.

— A zkądże pani wiesz że jestem lepszym od tych którzy panią napastowali? zapytał Terry z uśmiechem.

— O! pan jesteś Anglikiem i masz taką poczciwą twarz, że się wcale pana nie boję, odpowiedziała spokojnie.

— Bardzo dziękuję, odpowiedział Terry z uśmiechem: jest to największy komplement jaki usłyszałem w ciągu całego mojego życia, Ale, panno Kennedy, już blizko druga godzina i deszcz pada, jak to sama widzisz i czujesz; czy sobie życzysz abym cię zaprowadził do kruchty jakiegoś kościoła czy też powzięłaś inne postanowienie. Podług mnie, to w nocy, nawet kruchta kościoła nie jest odpowiedniem schronieniem dla szesnastoletniéj panienki. Gdzież mam panią zaprowadzić?

— Nie wiem, odpowiedziała z wyrazem najżywszego zakłopotania. Gdyby nie było tak późno, mogłabym spróbować czy jéj nie znajdę. Powiedz mi pan czy teatra są już zamknięte?

— Tak, od dwóch godzin; ale nie sądzę abyś pani chciała zastąpić kruchtę teatrem.

— Nie śmiéj się pan ze mnie, zawołała z gniewem. Nie ma w tem nic śmiesznego. Potrzebuję znaléźć osobę należącą do teatru, pewną panią, aktorkę występującą w teatrze *Nouveautés*.

— W teatrze *Nouveautés*! powtórzył Terry. Znam niektóre występujące tam aktorki. Czy mogę dowiedziéć się jéj nazwiska?

— Pani Felicya.

Dennison zatrzymał się nagle, a młodziuchna jego towarzyszka zwróciła na niego zadziwione oczy. I znów dostrzegł to uderzające podobieństwo, ale teraz już przypomniał sobie do kogo. Felicya! Alež to dziewczę tak do niéj podobne, że możnaby ją wziąść za jéj córkę! Terry zaczął przyglądać się uważniéj jeszcze téj śniadawéj twarzyczce.

— Cóż się panu stało? zapytała niecierpliwie. Dlaczego pan tak patrzy na mnie? Czy powiedziałam coś tak dziwnego? Czy pan zna panią Felicyę?

— Chodźmy, odezwał się Terry, mogłabyś się pani narazić na śmiertelną chorobę stojąc na deszczu, Czy znam Felicyę? Tak, trochę; pani ją zna także?

— Nie.

— Nie? Dla czegóż więc, jeżli zapytać wolno...

Dziewczę rzuciło znów na niego gniewne spojrzenia.

— Nie, nie wolno się o to pytać. Nie mogę tego powiedziéć. Potrzebuję widziéć się z panią Felicyą, aktorką występującą w teatrze *Nouveautés*, i więcéj panu wiedziéć nie potrzeba. Dla tego jedynie przybyłam tu sama jedna z Glasgowa, i muszę być u niéj dziś jeszcze, jeżeli to być może. Jest to jedyna przyjaciółka jaką mam na świecie. Ah! panie, byłeś dla mnie tak dobrym, oddałeś mi tak wielką przysługę, i wiem że masz litościwe serce; zlituj się więc nademną, i, jeżeli ją znasz, zaprowadź mnie do niéj.

— Czy ona oczekuje przybycia pani? zapytał z pewnem wahaniem się, Terry.

— Nie, panie, nie spodziewa mnie się wcale, jednak pomimo to nie odmówi mi swéj opieki.

— Jesteś pani tego pewną?

— Tak, najpewniejszą.

— Czy pani już widziała kiedy Felicyę?

— Nigdy, o ile sobie przypominam; ale wiem jak wygląda. Tyle już lat upłynęło od czasu w którym odwiedziła mnie raz ostatni. Mieszkałyśmy wtenczas w Kanadzie.

— Mieszkałyśmy... Kto taki?

— Ja z Joanną. Joanna mnie wychowała i była moją opiekunką; teraz umarła... Ale nie powinnam panu tego mówić; nie chcę o tem mówić, dodała z dziecinną żywością.

— Powiedziałaś pani że Felicya odwiedzała panią w Kanadzie; odezwał się Terry nie zważając na jéj rozdrażnienie. Może się pani myli; ta Felicya którą ja znam, nie była nigdy w Kanadzie.

(*d. c. n.*)

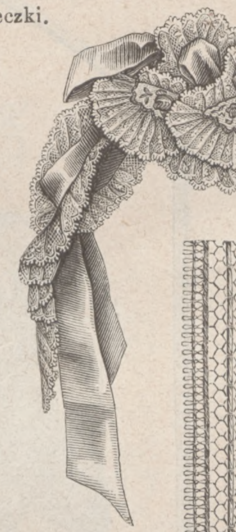
Opis do N. 33.

(*Dokończenie*).

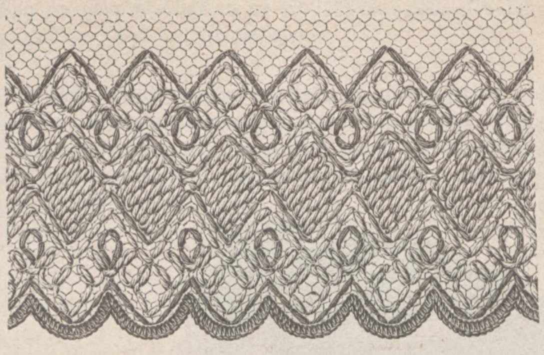
Na ryc. 11 podajemy sukienkę wyciętą włożoną na kolorowem podwleczeniu, złożoną z samych wstawek 4 cent. szerokich, haftowanych i kolorowych łączonych wąziutkiemi batystowemi, stębnowanemi pliskami.



N. 1. Ząbki szydełkowę z tasiemeczki.



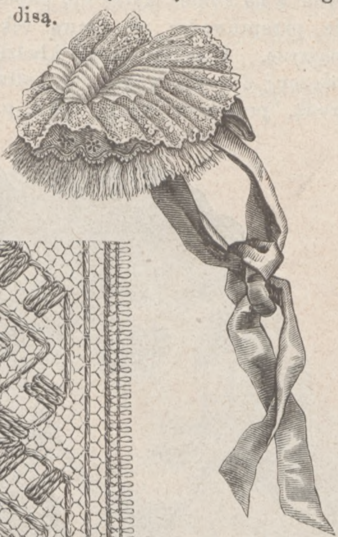
N. 5. Czepeczek z haftowanemi patkami.



N. 3. Koronka na tiulu wywodzona kolorową bawełną.



N. 2. Ząbki szydełkowe z mignardisą.



N. 6. Czepeczek z koronki i wstążki.



N. 4. Wywodzenie na tiulu do krawatki r. 9 w N. 33.

N. 12 — 15. Zasłonka do okna, ozdobiona haftem krzyżykowym i kratkami.

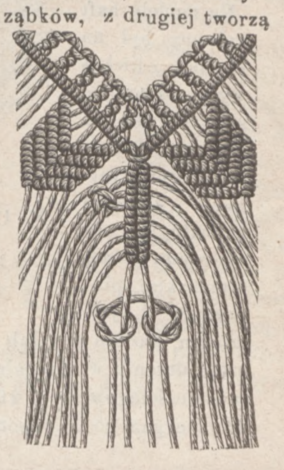
Dwie takie na bok rozsuwane firaneczki zawiesza się na kółkach na drucie mosiężnym przytwierdzonym do ramy okna. Model zrobiony był z kanwy kongresowej; trochę więcej jak trzecią część całej szerokości, zajmował pas środkowy, robiony ściegiem krzyżowym, różnokolorową filozelą. Boczne pasy złożone są z kratek ażurowych, w których wyciąga się z kanwy nitki podłużne, i z wązkich szlaczków krzyżowych. Próbkę szlaku naturalnej wielkości podajemy na rycinie 15, a próbkę roboty wązkich pasków między kratkami na ryc. 14. Rycina 13 przedstawia inną stosowną kratkę; frendzla jest wysiepana i zamocowana ściegiem dzierganym.



N. 12. Wiązanie węzłów na narożnik do frendzli ryc. 11.



N. 8. Torebka ozdobiona wyszyciem krzyżykowem.



N. 13. Wiązanie i zakończenie środka w narożniku do frendzli ryc. 11.

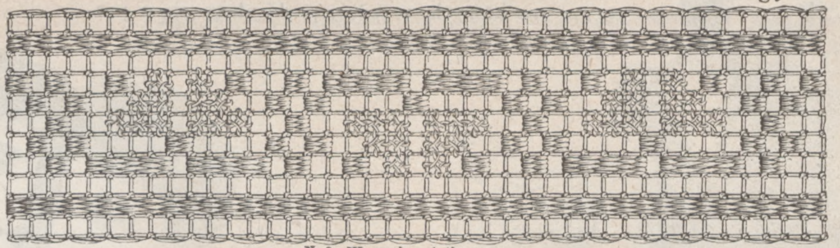
N. 16—17. Wzory małych serwetek meblowych. Haft krzyżykowy i robota szydełkowa.

Do obydwóch serwetek na pasy matowe użyta była tasiemka écru, której rzadka tkanina ułatwia wyszycie krzyżykowe dwoma kolorami bawełny. Każden pas tasiemki obrobiony jest z brzegów słupkami i o. pow., do których przyrabia się następnie pasy szydełkowe. Takowe do ryc. 16 składają się z kwadratów robionych oddzielnie ściegiem karbowanym, z bawełny niebieskiej, szerokich na o. 10 a przerabianych razy 8, które następnie obrabia się w koło i łączy ze sobą o. ścisłemi, kolorem śmietankowym, a następnie łączy z tasiemką, sposobem wyraźnie wskazanym na próbce. Na próbce ryc. 17, drabinkę bronzową lub ponsową obrabia się ząbkami z 11 o. pow. przerabianych 1 o. ścisłem. Następnie dwa pasy tasiemki łączy się pasem środkowym roboty szydełkowej, któren w jednym ciągu przerabia się tam i napowrót od ząbków do ząbków pasa przeciwległego. Zacząć jednem ścisłem łańcuszkowem o. w 5-te o. pierwszego ząbka zrobić 11 o. łańcuszka przerobionych 1 o. śc. łań. do 5 o. ząbka pasa drugiego, 5 o. łań. przyrobionych 1 o. łań. do 6 rzędu poprzedzającego, 5 o. łań. przyrobionych 1 o. śc. w szóste o. pasa pierwszego, znów 5 o. łań. 1 o. śc. w 6-te poprzedzającego, i tak ciągle od ząbka do ząbka przeciwległego, przyrabiając po sześć sznureczków łańcuszkowych do każdego ząbka, łącząc takowe 1 o. śc. łań. w środku i uważając ażeby każda grupa z 6-ciu sznureczków, przedzielała się w środku po 3 do dwóch ząbków przeciwległych. Całą serwetkę obrabia się słupkami, ząbkami i szlakiem ze sznureczków łańcuszkowych, które z jednej strony przyczepiają się do ząbków, z drugiej tworzą pentelki obrobione dwoma rzędami ząbków z 5-u o. pow. przyrabianych 1 o. ścisłem.

N. 21. Kapelusz biały z włoskiej słomy. Ma duże okrągłe rondo podszyte czarnym aksamitem, a ubrany jest białą atłasową wstążką, białemi piórami, różami, ciemnemi liśćmi i trawą.

N. 21 — 22. Czepeczek negliżowy.

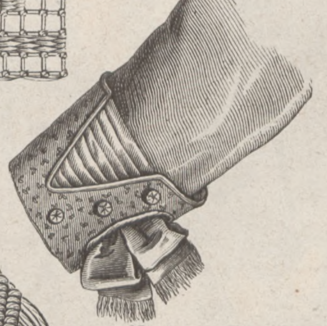
Czepeczek ten łatwo dający się zapakować w drogę bez zgniecenia, ma denko okrągłe muślinowe lub tiulowe o 28 cent. średnicy, zaszyte z przodu w 6 równych fałdek, a w środku z tyłu w jedną kontrafałdę do 50 cent. obwodu, do którego dodaje się czółko z podwójnego sztywnego tiulu mające w środku 3 w końcach $1\frac{1}{2}$ c. szerokości a 9 długości, następnie w koło denka dodaje się pasek 2 cent. szeroki, na którym naszywa się plisowaną $3\frac{1}{2}$ centym. szeroką koronkę. Ubranie denka stanowią 3 kawałki wstążki gazowej, „crêpe de Chine“ lub grenadyny, 27 cent. długie a 9 szerokie, złączone wstawkami koronkowemi i oszyte z trzech stron koronką. Nieoszyty brzeg przedni zakończa się obrębem 3 cent. szerokim, za którym przymarszcza się obrębem zarzutkę do 19 c. i przyszywa na czółko nad garnirunkiem; w środku zaszywa ją się w 3 fałdki i podnosi w małą bufkę. Wstążka atłasowa 3 cent. szeroka przykrywa pasek i związana jest z tyłu na kokardę. Ryc. 22 przedstawia czepeczek złożony w małem pudełku.



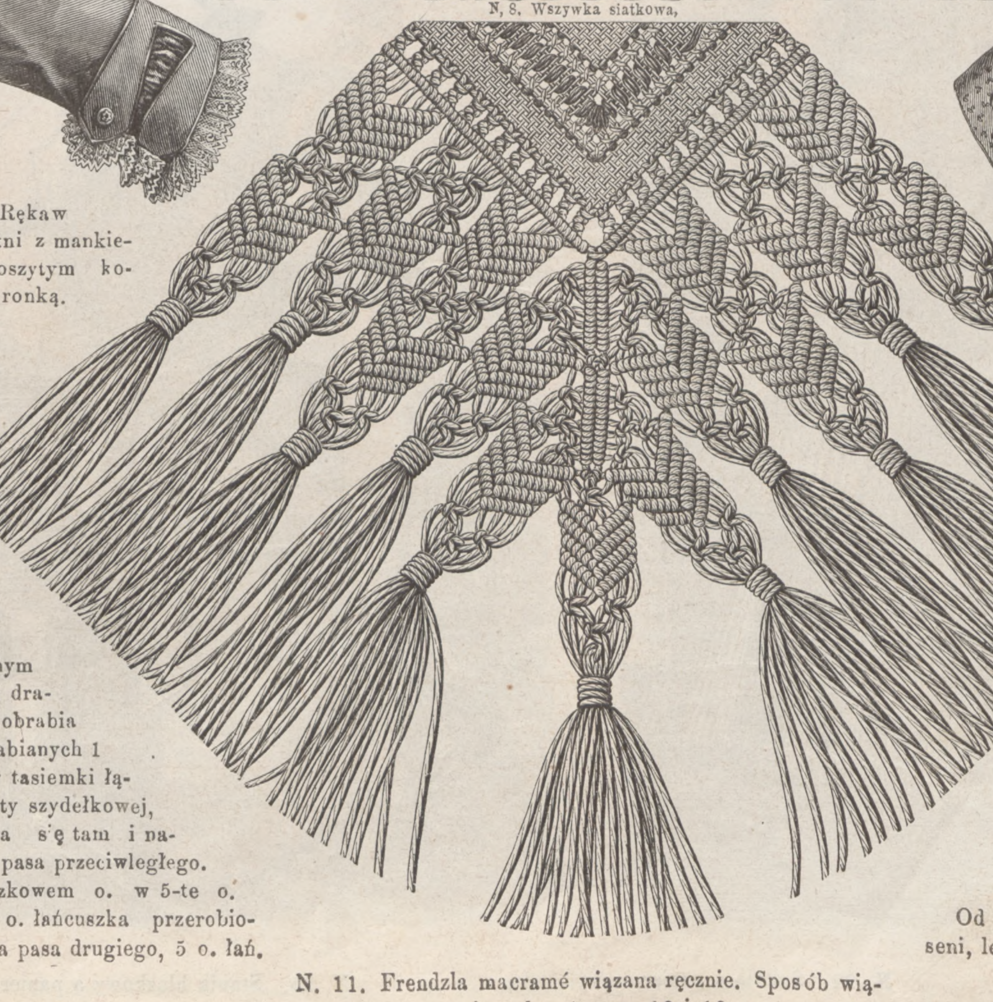
N. 8. Wszywka siatkowa.



N. 9. Rękaw do sukni z mankietem oszytym koronką.



N. 10. Rękaw do sukni z mankietem przepiętym kokardą.



N. 11. Frendzla macramé wiązana ręcznie. Sposób wiązania wskazują ryc. 12 i 13.

N. 23—25. Maszynka do przenoszenia deseni na przeznaczony do wyszycia materyał.

Od dawna znana była maszyna do przekłówania deseni, lecz jako droga i skomplikowana, nie mogła służyć

do powszechnego użytku; przekłówanie zaś ręczne jako zmudne i nie dość dokładne nie było praktyczne. Obecnie wynaleziono maszynkę małą łatwą w użyciu i tanią a więc zupełnie odpowiednią celowi. Na płytę maszyny kładzie się grube sukno, flanelę albo pokład bibuły, na to układa się równo deseń a na koniec kalkę lub papier woskowany, a następnie przeprowadza się prawą ręką sztyft a lewą porusza maszynę. Przekłóty deseń kładzie się na materyał przeznaczony do wyszywania lub haftu, posypuje z wierzchu kredą, proszkiem węgla lub t. p., a potem wałkiem zrobionym z sukna lub flaneli rozprowadza się równo proszek i przeciska przez dziurki. Rycina 14 pokazuje wałek zwinięty i okręcony grubą nitką, ryc. 25 wskazuje sposób zwijania.



N. 14. Uczesanie w węzeł z trzech pukli. Patrz ryc. 17.

N. 15. Uczesanie greckie. Patrz ryc. 16.

N. 26--29. Haft kolorowy na krzesło lub taboret.

Na modelu haft robiony był na ciemno oliwkowym aksamicie sznureczkiem złotym i filozelą o dwóch nitkach kolorem brunatnym, oliwkowym, bordo, niebieskim, piaskowym i fjołkowym, każden o 3 lub 4 cieniach. Ryc. 28 podaje $^1/_4$ część deseniu w naturalnej wielkości i wskazuje dokładnie rodzaje ściegów; ryc. 26 i 26 uczy dwóch sposobów ściegu dzierganego do roboty liści.

N. 30—32. Wyszycie na drelichu w pasy na poduszkę do kanapy.

Rodzaj grubego drelichu w pasy białe i kolorowe wyszyty kolorową filozelą i plecionką złotą lub srebrną stanowić będzie ładną poduszkę. Do podobnego układu jak na ryc. 30 lub 31 trzeba kupić materyału od razu na dwie poduszki, z których każda na modelu trzymała 54 cent. w kwadrat; dwa więc tej wielkości jednakowe kwadratowe kawałki przecina się najpierw na dwa trójkąty równe, następnie każden kawałek przecina się jeszcze raz przez środek, dalej chcąc otrzymać zupełnie odmienny układ pasków, wskazany na rycinie 30 i 31, trzeba zeszyć za brzegi skośne po dwa kawałki jednakowe od jednego i drugiego kwadratu, a otrzymamy dwie poduszki na których w jednej paski ułożą się w promienie, a na drugiej w kwadraty. Ryc. 32 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę wyszycia czterema kolorami filozeli i plecionką złotą.



N. 18. Sukienka princesse z fałdami, dla dziewczynki lat 6—8. Krój podług ryciny 30—31 w N. 32. Patrz ryc. 19.

N. 20. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki.

N. 19. Sukienka princesse z fałdami, dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 18.

Na pasach kolorowych wyszycie jest zawsze jednakowe n. p. na ponsowych czarne a na niebieskich ponsowe, a na białych w czterech naprzemian kolorach, n. p. ciemno orzechowe, niebieskie, popielate i zielone lub ponsowe.

N. 33. Chusteczka z muślinu indyjskiego, ze wstawkami i koronką bretońską, zeszywa się z czterech części. Dwa skośne przednie końce zaokrąglone u dołu, mające po 50 cent. długości a 45 górnej szerokości, składają się przez środek w ten sposób żeby część spodnia wystawała trochę z pod zwierzchniej i fałdują w górze do 8 $^1/_2$ cent. Części tylne których wielkość musi być podług figury dopasowana, ułożone są w podłużne fałdy. Naszycie wstawek 3 cent. i koronki 5 cent szerokiej widoczne na rycinie.



N. 16. Uczesanie greckie. Patrz ryc. 15.

N. 17. Uczesanie w węzeł z trzech pukli. Patrz ryc. 14.

N. 34—35. Suknia z suto przybraną spódnicą i z chusteczką.

Ryc. 34—35 przedstawia z tyłu i z przodu strojne wieczorowe ubranie, które może być odrobione z kolorowych lekkich materyałów, albo z białego muślinu na kolorowej potrzewce. Garnirunek spódnicy stanowi woda 13 cent. szeroka w górze nagłówkiem 4 cent. szerokim zakończona, riusza 8 cent. szeroka i plisowanie parę razy przestębnowane. Garnirunek na przednim brycie ma 80 cent. długości, 14 górnej a 30 dolnej szerokości, do którego z boków dodane jest upięcie a panier, a u dołu części fałdowane frendzlą oszyte; z tyłu upięta draperya z bryta 200 cent. długiego, której układ widoczny na ryc. 34.

N. 36 — 44. Chusteczki batystowe. Oszyte koronką lub zakończone szerokiemi obrębami i ozdobione haftem krzyżowym lub ściegiem długim cierniowym i supełkami.

N. 45—46. Suknie ubrane plisami.

Ryc. 45—46 przedstawia przybranie suki zarówno stosowne do fularów lub wełnianych letnich materyałów jak do kretonów, satynki i t. p. Spódnica z małym trenem oszyta jest dwoma 18 cent. szerokiemi plisowaniami; w tunikę z przodu wszyta jest część złożona z plisowanych falbanek i plis, mająca w górze 18, u dołu 28 centym.



N. 21. Suknia z długim stanikiem i paskiem.

N. 22. Suknia a panier z chusteczką.



N. 25. Stanik bluzkowy a panier.



N. 26. Stanik z baskną a panier.



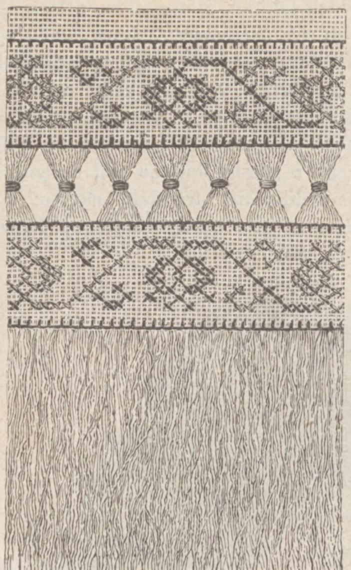
N. 27. Stanik z bawetem a panier.

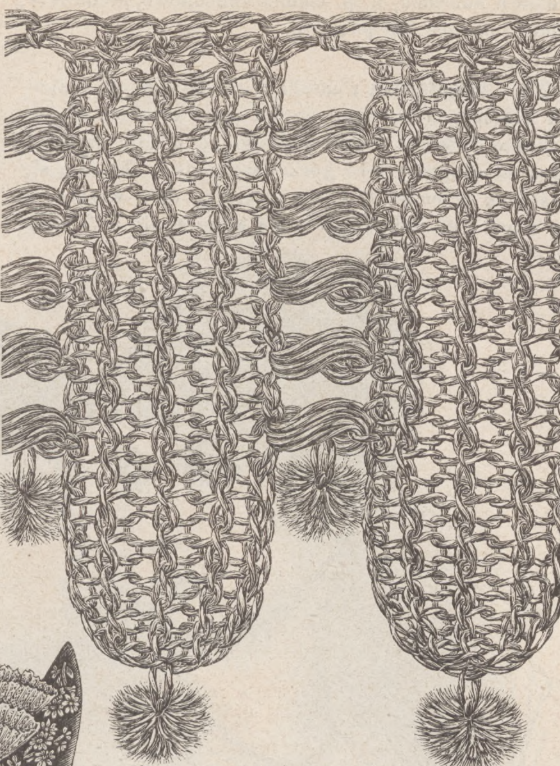


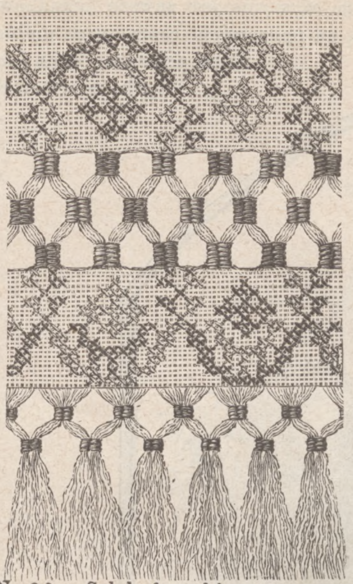
N. 23. Suknia a panier z trenem.

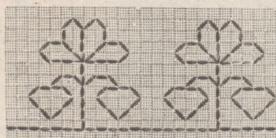
N. 24. Suknia ze stanikiem a panier i kamizelką.

szerokości. Boczne części ułożone są z klinów w górze 21 u dołu 48 centym. szerokich, a w prostym przednim brzegu 126 cent. długich, które w odstępach 14 cent. układane są w trzy fałdy, w sposób wskazany na r. 45, do 88 cent. długości. Tylną część tuniki stanowi bryt prosty, 146 cent. długi 80 szeroki, upięty w sposób wskazany na rycinie 46. Dalsze przystrojenie sukni ryc. 46, stanowią szlaki fabryczne kolorowo przerabiane, z kolorowemi wypustkami, a do ryc. 45 pl sy skośne gładkie i haftowane. Stanik z przodu ozdobiony żabotem z wachlarzowo układanej koronki i wązkiej wstążki, u dołu rozchodzi się w dwa zęby śpiczaste, na biodrach jest kolisto podkrojony a z tyłu ma baskinę znacznie przedłużoną, w fałdy ułożoną.

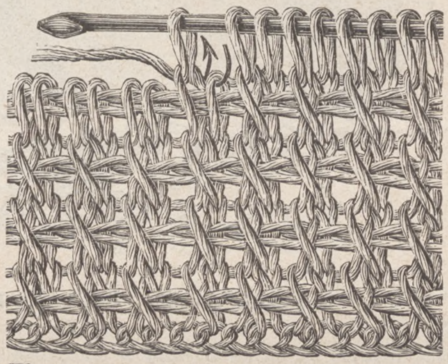

N. 28. Szlak do sukien letnich, fartuszków, serwetek i t. p. Ścieg krzyżykowy i kratka ażurowa.


N. 34. Ząbki szydełowe do ryc. 36.


N. 29. Szlak do sukien letnich, fartuszków, serwetek i t. p. Ścieg krzyżykowy i kratka ażurowa.


N. 30. Szlaczek ściegiem jednakowym i na dwie strony.


N. 32. Kamizelka z żabotem.


N. 35. Tło do ryc. 36 robione szydełkiem ściegiem tunetańskim.


N. 33. Kokarda do kołnierzyka.


N. 31. Szlaczek ściegiem jednakowym na dwie strony.

niżej w węzeł. Denko stanowi skos kolorowego indyjskiego muślinu, 14 c. szeroki, 23 długi w końcach skośnie ścięty, oszyty na około 6 cent. szeroką bretońską koronką i złożony w fałdki 1 cent. szerokie, który przyczepia się na wierzchu paska podług ryc. 6.

N. 18—19. Sukienka princesse z fałdami, dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój podług ryc. 30—31 w N-rze 32 Tygodnika.

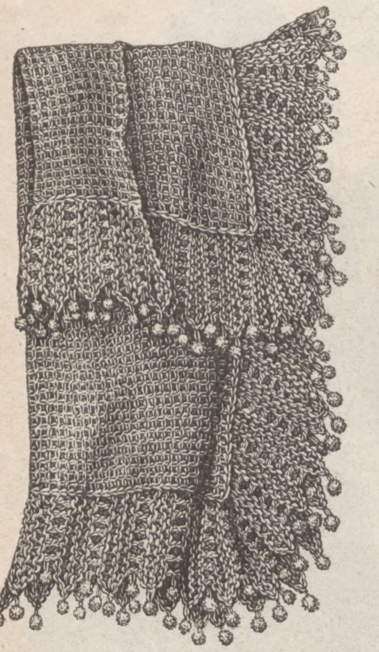
Krając sukienkę podług powyżej wskazanego kroju trzeba plecy i boki krająć oddzielnie, naddając wzdłuż brzegów przodów i środkiem pleców po 10 cent. na założenie fałdek. Kołnierzyk marynarski liczy 18 centym. szerokości z tyłu a 9 z przodu, długość zaś w środku z tyłu 11 cent. wynosi; rękawy ozdobione mankietami 11 cent. szerokiemi. Ryc. 18 przedstawia sukienkę z blado niebieskiego zefiru przybraną u dołu plisowaniem 6 cent. szerokiem, falbaną haftowaną i plisą 10 cent. szeroką z materyału w deseń mille-fleurs oszytą z brzegów wypustką i wązkiemi haftowanemi ząbkami. Kołnierz i mankiety z tego co plisa materyału. Na ryc. 19 widzimy w tenże sam sposób przybraną sukienkę z granatowego płótna

N. 20. Fartuszek bluzkowy dla małej dziewczynki.

Bardzo praktyczny bo całą prawie sukienkę zasłaniający fartuszek zszyty z prostych brytów, można uszyć z batystu, perkalu, z szarego lub granatowego płótna i t. p. Do prostego karczka plecy wszywają się drobno marszczone, a przody składają w kontrafałdy; przy wykroju szyi i w koło pachy wązka falbanka. U dołu fartuszka kilka rzędów zakładek i szlak wyszyty krzyżykami; pasek 4 cent. szeroki.

(dok. nast).

Opis do N-ru 34.


N. 36. Chusteczka szydełkowa. Patrz ryc. 34—35.

N. 5. Czepeczek z haftowanemi patkami.

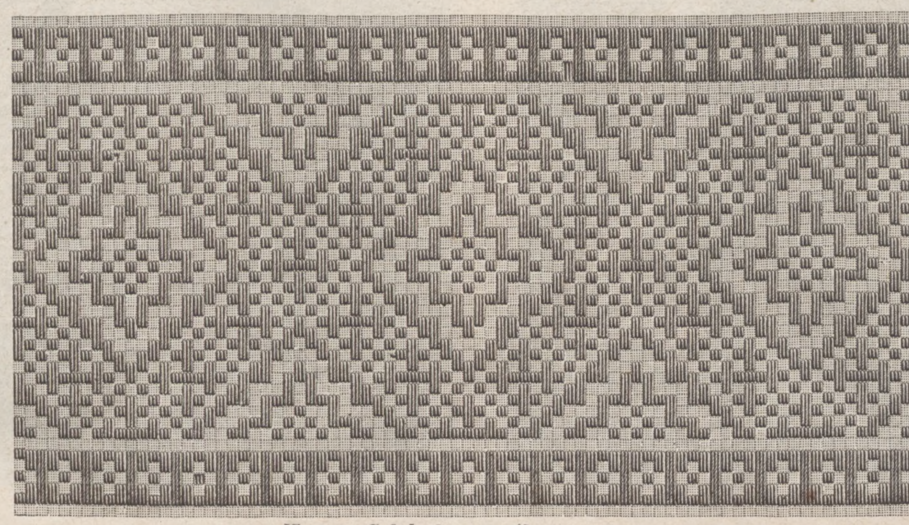
Podstawę stanowi półkole ze sztywnego tiulu w środku 7 cent. szerokie i 10 cent. długie, oszyte z brzegów koronką 4 centym. szeroką; środek półkola przykryty puklami z wstążki atlasowej różowej 6 i pół cent. szerokiej, przedzielanemi fałdowaną koronką. Nowość w przybraniu stanowią patki haftowane kolorowo na muślinie 6 cent szerokie oszyte fałdowaną koronką i przyczepione do podstawy podług r. 5. Z tyłu na włosy spadają końce z wstążki 30 i 35 cent. długie, na które spuszczony pukiel ogarnirowany koronką.


N. 37. Kapotka z białego bastu.


N. 38. Ręcznik ozdobiony szlakiem i oszyty koronką z mignardisse. Patrz ryc. 39.

N. 6. Czepeczek z koronki i wstążki.

Pasek sztywnego tiulu oszyty drucikiem, 13 cent. długi a 7 w środku szeroki stanowi podstawę czepeczka, oszytą z przodu wstążką 4 i pół cent. szeroką, wysiepaną na 3 cent., na którą zachodzi wstążka 2 cent. szeroka w deseń kolorowy z brzegiem w ząbki obrobione nitką złotą. Z tyłu dana kokarda z 6 cent. szerokiej wstążki atłasowej dwukolorowej, złożona z pukli po 10 cent. długich i z końców po 47 cent. długości, przewiązanych po-


N. 39. Szlak do ręcznika ryc. 38.